SOBOTA
Nr 86 22 VII 1979 Cena 1,50 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

35 LAT
POLSKIEJ RZECZYPOSPOLITEJ
LUDOWEJ

KONKURS JUBILEUSZOWY

Zamieszczone obok rysunki symbolizują niektóre wydarzenia z okresu 35-lecia naszego kraju. Znacie je na pewno, choćby z lektury „Świata Młodych". Zadanie konkursowe polega na poprawnym skojarzeniu oznaczonych literami tekstów z rysunkami i wypełnieniu tabelki (numer rysunku wpisać w rubrykę oznaczoną literką kojarzącego się z rysunkiem tekstu).

a) Likwidacja tego „dziedzictwa" kapitalizmu była jedną z pierwszych zakrojonych na wielką skalę akcji.

b) Ogłoszony 22 lipca 1944 r. Był skierowany do wszystkich Polaków. Ustalał podstawy nowego ustroju w naszym kraju.

c) Agnieszka, Ewa, Adam, Piotr, Roman. Dziś mają już po 8 lat.

d) Jako pierwszy Polak opłynął samotnie świat.

e) „Syrena", „Zdrowie", „Zorza Polarna" i „Ziemia" – oto kryptonimy polsko-radzieckich eksperymentów naukowych.

f) Obok Operacji „Bieszczady – 40", największa harcerska akcja – „Azymut – Huta Katowice".

g) Był stoczniowcem. Jego imię znane jest na morzach i oceanach.

h) Lipiec 1948. Kongres Zjednoczeniowy Młodzieży Polskiej, na którym połączyły się w jeden związek: ZWM, OM TUR, ZMW RP-„Wici" i ZMD.

i) Pełnili służbę w obronie pokoju w Korei, Wietnamie, Laosie, a obecnie na Bliskim Wschodzie.

j) Jest obiektem żartów i marzeń. Obecna produkcja wynosi 200 tys. sztuk rocznie.

k) Budowali ją zetempowcy. Śpiewano o niej piosenki. Dziś ma 30 lat.

l) Wyżej niż weszła Polka wejść już nie można.

ł) Najpiękniejszy pomnik na świecie. Patronują mu harcerze.

m) Co roku w maju. Największa impreza „Trybuny Ludu", „Neues Deutschland" i „Rudeho Prava".

n) Zwą go „Warszawski" lub „Królewski".

o) Noszą go ludzie, którzy poświęcili życie dzieciom.

a	e	i	ł
b	f	j	m
c	g	k	n
d	h	l	o

Tabelkę wypełnij, wytnij i naklej na kartę pocztową. Wyślij na adres: Redakcja Gazety Harcerskiej „Świat Młodych", ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa. Termin nadsyłania rozwiązania do 1 sierpnia br.

NAGRODY

Wszystkie poprawne rozwiązania wezmą udział w losowaniu 10 książeczek PKO z wkładem po 500 zł.

POLSKA KRAJEM LUDZI KSZTAŁCĄCYCH SIĘ

Wiele mamy osiągnięć w życiu naszego kraju, z których możemy być dumni. Wszystko czego dokonaliśmy siłą naszych rąk i umysłów zawdzięczamy naszym umiejętnościom, wiedzy i wykształceniu. Dziś już nie pamiętamy z jakiego punktu startowaliśmy przed 35 laty. Na zniszczenia wojenne nałożyły się ogromne zaniedbania oświatowe okresu międzywojennego, po którym odziedziczyliśmy ok. 3 milionów analfabetów, ludzi nie umiejących pisać i czytać. Dla przypomnienia warto dodać, iż w roku szkolnym 1937/38 ponad pół miliona dzieci pozostawało poza szkołą. Sam system szkolny w owych czasach był bardzo zróżnicowany i trudno dostępny. Podstawowy szczebel edukacji – szkoła powszechna – była podzielona na trzy stopnie. Pierwszy z nich obejmował klasy od I do IV, drugi od I klasy do VI, trzeci – najwyższy – od I do VII klasy. Częstokroć edukacja kończyła się na jednym z nich, nie doprowadzając do pełnego ukończenia szkoły powszechnej.

Tak więc gdy dzisiaj spoglądamy wstecz na przebytą drogę, nie sposób przecenić wielkości przeobrażeń i osiągnięć naszej oświaty w Polsce Ludowej. Właściwie zbudowaliśmy wszystko od podstaw, od nowa. 60 proc. majątku szkolnego legło w gruzach, a i reszta była zdewastowana. Brakowało nauczycieli, spośród ok. 100 tys. wykładowców szkolnych i akademickich, zatrudnionych w szkolnictwie w 1939 r. ok. 30 proc. zginęło w czasie wojny i okupacji.

Odbudowując oświatę, równocześnie dążyliśmy do jej maksymalnej demokratyzacji, powszechnej dostępności i coraz wyższego poziomu. Pierwszym etapem było wprowadzenie powszechności wykształcenia 7-letniego, a następnie wprowadzenie szkoły 8-letniej. Na tej podstawie budowaliśmy wyższy stopień edukacji – średnie szkoły ogólnokształcące i tak bardzo nam potrzebne szkolnictwo zawodowe. Równocześnie tworzyliśmy sieć szkół umożliwiających zdobycie wykształcenia ludziom dorosłym, pracującym. Rzucone hasło: „Polska krajem ludzi kształcących się", przekształciło się w rzeczywistość i głęboko zakorzeniło w świadomości społecznej. Hasło to znajduje odbicie również w naszej współczesnej rzeczywistości. Wymownie świadczą o tym liczby: mamy dziś ok. 8 mln osób objętych różnymi formami nauczania, co oznacza ponad 22 proc. ogółu społeczeństwa. W 35-leciu szkoły zawodowe i licea ogólnokształcące opuściło ok. 12 mln absolwentów. Wykształciliśmy własną, nową inteligencję.

Dziś stajemy w obliczu nowych zadań. Pragniemy przeobrazić oświatę na miarę naszych czasów – uczynić wykształcenie średnie powszechnym. Pracujemy nad tym już od kilku lat, podejmując wielokierunkowe przedsięwzięcia. Zaczęliśmy od przebudowy oświaty na wsi, tworzenia zbiorczych szkół gminnych, bardziej nowoczesnych, lepiej wyposażonych. Jest ich już ok. 1800, a uczy się tam ok. 80 proc. dzieci zamieszkałych na wsi. Nie zawsze jeszcze placówki te mają zapewnione właściwe warunki, ale obrany kierunek jest słuszny. Nic co nowe nie przychodzi łatwo. Tak jest i z nową szkołą 10-letnią. Są trudności, są potknięcia. Wiele trzeba zmienić i doskonalić w konfrontacji z życiem, z praktyką szkolną. Perspektywa edukacji narodowej została nakreślona, wkraczamy w nowy etap rozwoju oświaty, który będzie miał doniosłe znaczenie dla naszego kraju, dla naszej przyszłości. (b)

Porozmawiajmy na obozach

GDYBY PO WRZEŚNIU NIE BYŁO LIPCA (2)

JERZY MAJKA

Wanda Wasilewska – pisał w tonie dramatycznym we wrześniu 1942 r. w wychodzących w Londynie „Wiadomościach Polskich" związany wówczas z rządem emigracyjnym Ksawery Pruszyński – mówiła o „*Polsce Bolesława Krzywoustego*". **Jeśli nie jest to tylko frazes oznacza to jedno: Polskę, która na wschodzie sięga po Bug czy San, ale na zachodzie przesuwa się do Szczecina i obejmuje Wrocław. Przed oczami nas, Polaków z Anglii, poprzez czerwone sztandary rewolucji powiała, jakby zachęta, jakby zaczepka, taka właśnie propozycja:** „*Przekreślcie pięćset lat historii, wyrzeczcie się wschodu, a otrzymacie Bałtyk, wrócicie nad Odrę, odzyskacie ziemie, o które ostatnimi słowami swych* ***„DZIEJÓW POLSKI"*** *modlił się Długosz*". **Ale by odpowiedzieć w takiej sprawie, trzeba być czymś więcej niż ambasadorem, czymś więcej niż premierem. Trzeba być Chrobrym, Piotrem Wielkim, Kemal Paszą, trzeba brać na swe barki decyzję za cały naród i na całe stulecia. Trzeba ciąć i trzeba łamać. Nie dziw, że trudno o barki dość mocne, by unieść ciężar decyzji tak olbrzymiej i tak straszliwej.**

Tę samą myśl po przeszło trzydziestu latach podejmie w swej niezwykle ciekawej książce ***„Rozmowy z ojcem"*** Ryszard Wojna przyznając, iż dopiero z dłuższego dystansu czasu uświadomił sobie, że ***„w 1945 roku wielu Polakom trudniej przychodziło oswojenie się z myślą o przyjaźni z Sowietami niż akceptacja reformy rolnej, nacjonalizacji przemysłu itd.***"

CIĘŻAR TEJ DECYZJI ODWAŻYŁA SIĘ WZIĄĆ NA SWOJE BARKI POLSKA LEWICA SPOŁECZNA SKUPIONA WOKÓŁ POLSKIEJ PARTII ROBOTNICZEJ. CZY BYŁA ONA AŻ TAK TRUDNA JAK DRAMATYZOWAŁ PRUSZYŃSKI?

W każdym razie nie była ona łatwa do podjęcia, a jeszcze trudniejszą sprawą było pozyskanie poparcia dla niej ze strony ogółu społeczeństwa. Sanacyjna propaganda wpajała narodowi przekonanie, że wrogi stosunek do Kraju Rad jest miernikiem polskości i patriotyzmu. Współczesny naród polski kształtował się głównie w latach zaborów, które w pamięci narodowej zachowały się jako lata bohaterskich powstań narodowych przeciwko carskiej Rosji. Ta pamięć, utrwalana w narodowej literaturze usuwała w cień pozostałych zaborców: polakożercze Prusy i nieco bardziej liberalną Austrię. To, że była to inna, carska Rosja – schodziło też na daleki plan. W tej atmosferze antyrosyjskiego nacjonalizmu nie tak trudno było przedstawiać np. interwencję Piłsudskiego przeciwko radzieckiej Rosji jako kolejną walkę o niepodległość. **Gubiły się w niej racjonalne oceny** ukształtowanych w latach 1918–1921 granic II Rzeczypospolitej. W świadomości ludzi utrwaliły się one jako jeden z głównych symboli odzyskanej niepodległości, jako narodowa świętość.

Nie pozwalało to ani dostatecznie ostro dostrzec, ani tym bardziej zrozumieć przemian, które zaszły w ciągu półtora stulecia w tej części Europy. Nie przyjmowano do wiadomości i świadomości, że **polsko-litewska, szlachecka Rzeczpospolita Obojga Narodów stanowi zamknięty nieodwracalnie rozdział historii**, a rozbudzona narodowa świadomość Litwinów każe im myśleć o Wilnie jako o swej, nie tylko historycznej, stolicy. **Że jednocześnie z naszym ukształtował się kilkudziesięciomilionowy naród ukraiński, że podobny proces zaszedł w społeczności Białorusinów.**

Nakładała się na tę atmosferę lansowana przez wieki przez Kościół idea Polski jako „przedmurza chrześcijaństwa", która zresztą zawsze przynosiła polskiej polityce zagranicznej więcej szkód niż korzyści. Tym razem sanacyjna propaganda przedstawiała to przedmurze jako zaporę – nie przeciw muzułmańskim Turkom – lecz bezbożnej, bolszewickiej Rosji.

ABY DOKONAĆ ZWROTU W UKŁADZIE POLSKICH SOJUSZÓW, ABY WYOBRAZIĆ SOBIE POLSKĘ W GRANICACH JEDNOCZĄCYCH ETNICZNIE POLSKIE ZIEMIE I TYLKO TE ZIEMIE, TRZEBA BYŁO PRZECIWSTAWIĆ SIĘ TYM WSZYSTKIM UPRZEDZENIOM. AKE INNEGO WYJŚCIA NIE BYŁO.

„Musimy dogadać się z Rosjanami jako naród – przytoczy Ryszard Wojna słowa swojego ojca, przedwojennego oficera, przebywającego w stanie ciężkim w szpitalu w Zachodnich Niemczech po pięcioletnim pobycie w hitlerowskim obozie jenieckim. – Komuniści są u nas tylko jedną z sił, i do tego mniejszością. To winna być polityka całego narodu. I tylko taka przekona Rosjan. A ojczyzny nie przeniesiemy gdzie indziej. Historii nie można się przeciwstawić. Stratuje człowieka i naród. Nie można się też na nią gniewać. Trzeba umieć wyciągnąć korzyści nawet z przymusów i konieczności, jakie niesie".

Jakie uwarunkowania zadecydowały wówczas, że zwrot polskiej polityki zagranicznej ku Związkowi Radzieckiemu stał się życiową koniecznością dla naszego narodu? **Lekcja historii, jaką my, Polacy, otrzymaliśmy w czasie II wojny światowej, uświadomiła nam z całą ostrością dwie prawdy: jak groźny jest dla niepodległości Polski militaryzm niemiecki przeniknięty duchem faszyzmu i rewanżu oraz jak niepewnymi sojusznikami okazały się zachodnie mocarstwa europejskie.** Francja za niezdecydowanie wobec hitlerowskich Niemiec zapłaciła militarną klęską i okupacją. Wielka Brytania wykorzystywała Polaków wyłącznie w swych własnych celach, a w trakcie Konferencji Poczdamskiej – broniąc interesów niemieckich zdemaskowała się jako – najbardziej zacięty przeciwnik naszej zachodniej granicy.

Związek Radziecki w starciu z hitlerowskimi Niemcami dowiódł, że stanowi czołową siłę koalicji antyhitlerowskiej. Armia radziecka zniszczyła główne siły faszystowskie – około 607 dywizji, podczas gdy na wszystkich pozostałych frontach rozgromionych zostało tylko 176 dywizji wroga. **Najbliższa droga do wyzwolenia Polski prowadziła z ZSRR.** Tylko zdecydowane postępy radzieckie na froncie wschodnim przyśpieszyć mogły koniec okupacji i przerwać planowe wymordowywanie przez hitlerowców naszego narodu. Nie było wówczas innej, bardziej żywotnej sprawy dla nas, Polaków. **Interes Polski wymagał więc rozwinięcia jak najszerszego współdziałania z walczącymi narodami ZSRR.**

Warunkiem tego było uregulowanie ze Związkiem Radzieckim na rozsądnych zasadach kwestii wschodnich granic Polski. A rozsądek wymagał aprobaty dla takiego rozwiązania, że ziemie etnicznie ukraińskie, białoruskie i litewskie znajdą się w granicach odpowiednich radzieckich republik. ZSRR reprezentując interesy swych narodów i zasadę samostanowienia – nie mógł w tej kwestii ustąpić.

KONIECZNOŚCI TEGO ZWROTU W POLITYCE ZAGRANICZNEJ NIE BYŁA ZDOLNA ZROZUMIEĆ POLSKA PRAWICA SPOŁECZNA I KONTYNUATORZY PRZEDWOJENNYCH RZĄDÓW. NIE ROZUMIEJĄC TEGO NIE POTRAFILI WYCIĄGNĄĆ NAJWAŻNIEJSZYCH WNIOSKÓW Z KLĘSKI WRZEŚNIOWEJ

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

Wiesław Garbolinski „Nad Odrą"

List do syna

W-wa, 21 lipca 1979 r.

DROGI MARKU!

Istnieją rocznice mniej lub bardziej znaczące w życiu każdego człowieka. Mniej lub bardziej znaczące rocznice istnieją w życiu narodów i całej cywilizacji. Te wielkie rocznice wydarzeń, które w sposób szczególny dotyczyły losów naszego narodu i które ukształtowały naszą rzeczywistość, pamiętamy i oddajemy im cześć.

Owe wielkie rocznice jak ta, którą będziemy obchodzili jutro pozwalają nam bowiem obchodzić dziś rocznice inne, nie związane z krwią, bohaterstwem i wyrzeczeniami; będące znamionami czasów, w których obecnie żyjemy – czasów eksplozji naukowo-technicznej i pokojowej współpracy między narodami. Sprawy te w Polsce przeplatają się i wiążą pokolenia w sposób szczególny.

Dla pokolenia moich rodziców rok obecny, a przede wszystkim jego wrzesień, będzie na zawsze wiązał się z czterdziestą rocznicą napaści Niemiec hitlerowskich na Polskę. Będzie przywodził na myśl wrześniowe działania wojenne, mrok pięcioletniej okupacji i próby biologicznego wyniszczenia narodu. Pokolenie moich rodziców szczególnie odświętnie obchodzi rocznicę wyzwolenia, a maj kojarzy im się z normalną ludzką radością, że przeżyli, że są, że nic już im nie grozi. I choć ponury był rachunek strat, wspominają jak z zapałem przystąpili do odbudowywania naszego kraju.

Zważ, Marku: oni obchodzą rocznicę faktu, że w ogóle dane im jest być. Nie zawsze dla nich, jak dla nas, było to takie oczywiste.

Ja urodziłem się już po wojnie. Niewiele pamiętam z pierwszego okresu odbudowy kraju. Problemy, którymi żyło wtedy pokolenie moich rodziców znam tylko z opowiadań. Dla mnie nie było problemu niedojadania i wysiłku związanego z odgruzowywaniem miast. Mogłem sobie pozwolić na to, aby fascynował mnie świat techniki. Dla mnie więc '79 to trzydziesta rocznica tego zdarzenia, kiedy pierwszy raz ujrzałem koparkę. Tak!

Zważ, Marku: twojemu ojcu utkwił w pamięci fakt, że pokazano mu jedyną bodaj w całej Warszawie koparkę, którą ty widzisz dziś niemalże na każdej budowie, i która jest najnormalniejszym narzędziem pracy.

Kraj nasz stopniowo dorabiał się. Pamiętam pierwsze programy telewizyjne eksperymentalnego jeszcze studia. Cieszyłem się z powstania radiostacji harcerskiej. Miałem do czytania coraz większe ilości czasopism i książek. Polska coraz intensywniej świadkowała dokonującemu się na świecie postępowi naukowo-technicznemu. Wraz z Nią byłem świadom i ja.

Dziś '79 dla mnie to kolejna rocznica wystrzelenia pierwszego satelity ziemskiego, to pierwszy lot orbitalny Gagarina, to 10 rocznica pierwszego lądowania człowieka na Księżycu.

Zważ, Marku: pokolenie twoich rodziców wspomina zdarzenia inne. Nie te związane z podstawami egzystencji, ale te, które świadczą, iż byliśmy świadkami dziejących się gdzieś na świecie zawrotnych i wreszcie godnych człowieka dokonań.

Z kolei dla ciebie '79 związany jest ze wspomnieniami o jeszcze innej wymowie. 27 czerwca obchodziłeś pierwszą rocznicę bezpośredniego uczestniczenia Polski i Polaka w przedsięwzięciach ludzkości wymagających najwyższej formy opanowania techniki i najwyższej wiedzy.

Zważ więc, Marku: jakże różne są rocznice i jak różne są wspomnienia ludzi siedzących przy tym samym stole. Jeśli jednak Polacy siedzący przy tym samym stole mogą wspominać owe tak różne rzeczy – począwszy od radości, że w ogóle są, poprzez radość wiedzy i posiadania informacji o cudzych dokonaniach, aż po radość z bezpośredniego uczestnictwa w największych przedsięwzięciach ludzkości, jeśli mogą wspominać rzeczy tak różne – to jest to najlepsza miara przeobrażeń jakie przeszedł nasz kraj.

Nie zapominaj więc o rocznicach, Marku. I o naszych, i o swoich. Niech twoje dzieci, dla których współczesność zacznie się od czegoś zupełnie innego, pamiętają jak do tego doszło i jak szybko.

MIECZYSŁAW KOMUDA

Stworzymy nowe, nadwiślańskie krajobrazy...

– Słyszałem, Panie Profesorze, że ostatnio prawie nie wysiada Pan z samochodu...

– Właściwie to bez przerwy albo doń wsiadam, albo wysiadam. Wczoraj wróciłem z Opola, z konferencji poświęconej zagadnieniom Nadodrza, wcześniej byłem na konferencji w Słupsku, poświęconej ochronie atmosfery, jeszcze wcześniej – w Szczecinie, gdzie omawialiśmy program Wisła i Odra. A znów pojutrze pędzę do Wrocławia na obronę pracy doktorskiej, której jestem promotorem. Więc cieszę się, że tego „malucha" w końcu kupiłem i że znaleźli się tacy, którzy mnie nauczyli nim kierować. Wszystko to już na emeryturze – wcześniej zupełnie nie miałem na to czasu...

– Czytelnicy ciekawi są jednak Pańskich wypraw po Wiśle. Bo przecież nie poznawał Pan tej rzeki zza szyb automobilu...

– Najchętniej wspominam te pierwsze wyprawy, lata 1924–1926, praktyki wakacyjne na Wiśle. Wspaniały okres! Dyrekcja toruńska dawała nam krypę z kajutami, łodzie, żaglówki. Obok Ciechocinek, pełno ładnych kuracjuszek... A tu na rzece pięciu budrysów, wysportowanych, opalonych, pławiących się w tej kryształowej wiślanej wodzie – jakże innej niż dzisiejsza... Ale i pracujących z zapałem. I wtedy, ciesząc się tą wspaniałą rzeką, nie wiedziałem, że dzieje się coś ważnego. Że oto nawiązuje się zażyłość pięciu ludzi, którzy będą później przez całe dziesięciolecia pracować razem dla naszej gospodarki wodnej i budownictwa wodnego. Wtedy poznali się i zżyli ze sobą: Wacław Balcerski, Zbigniew Żmigrodzki, Ziemowit Śliwiński, Jerzy Sawaszyński i ja – przyszli pracownicy naukowi różnych uczelni w kraju.

– Ale zawodowe szlify zdobył Pan podobno później, w Rożnowie?*)

– Właściwie to dużo wcześniej, przy budowie stawów rybnych, gdzie poznałem budownictwo wodne niejako w miniaturze. Bardzo pouczające! Rożnów – to już był wielki rozmach. Mechanizacja, automatyzacja, największa tego typu budowla w przedwojennej Polsce. Tu znów spotkała się nasza piątka, jak od tej pory mówiliśmy – „różnowska rodzina". Ale najważniejsze, że wtedy spotkaliśmy wspaniałych fachowców z Francji, mających w budowaniu takich zapór ogromną praktykę. Był wśród nich uczony wszechświatowej sławy – geolog Lugeon. Pamiętam go jak dziś, stukającego laseczką po skałach i śpiewającego najbardziej frywolne, francuskie piosenki. Tak swobodnie spacerując – nagle przystawał i od piosenek przechodził do zwięzłych, fachowych, czasem ostrych uwag. To była dla nas szkoła...

Tempo budowy było zawrotne. Chodziło o energię dla powstającego Centralnego Okręgu Przemysłowego, który miał produkować broń. Bo czuliśmy wtedy, że coś wisi w powietrzu, że czasy są niespokojne.

Gdy wybuchła wojna, zapora, w 90 procentach gotowa, znalazła się w rękach niemieckich. Później, gdy już Niemcy szykowali się do ucieczki, chcieli wysadzić ją w powietrze, a najważniejsze urządzenia wywieźć. I tu ujawnił się talent dyplomatyczny, a nawet strategiczny inż. Balcerskiego. Tak skutecznie namawiał Niemców, by zwlekali z demontażem, bo przecież prąd potrzebny ich wojsku, że w końcu nie zdążyli niczego wysadzić ani wywieźć. Założyli wprawdzie ładunki – ale lonty zostały przez nas przecięte, rozmontowali turbiny – ale nie zdążyli ich zabrać przed wkroczeniem wojsk radzieckich, musieli wymontowane części zatopić w jeziorze. Już na drugi dzień zostały przez naszych wyłowione i zaczęły pracę.

W ten sposób ocalało to – uważam – wielkie dzieło polskiej techniki...

– Teraz zaczniemy tworzyć dużo większe – nowoczesną Wisłę. Tylko – czy to głównie technicy powinni decydować o przyszłym kształcie największej z naszych rzek?

– Czuję, że kiedy mówi pan: „technicy", ma pan na myśli ludzi zawężonych, patrzących na świat jak ten koń, co ma osłony po obu stronach oczu. Zapewniam: są wśród nich ludzie o horyzontach dużo szerszych, choć przyznaję, że i tych pierwszych nie brak. Ale bądźmy sprawiedliwi i przyjrzyjmy się też tym, którzy reprezentują podejście humanistyczne, opowiadają się za przyrodą, za pięknem krajobrazu. Ilu z nich jedynie ładnie mówi! Po raporcie U Thanta o zagrożeniu środowiska na świecie przetoczyła się przez nasz kraj fala słów w obronie przyrody. Gdyby to była woda – puścilibyśmy tę falę na turbiny, byłaby energia! A tak – co nam ze słów, skoro przeważnie nie towarzyszy im rozsądne działanie.

– Chyba jednak m. in. dzięki takim słowom staliśmy się wrażliwsi, pilniej śledzimy poczynania ludzi w przyrodzie. Nasi czytelnicy pytają: „Czy Wisła nie stanie się wybeto-

CIĄG DALSZY NA STR. 4

WYWIAD NA ŻYCZENIE

Dziś rozmawiamy z prof. inż. ALEKSANDREM TUSZKO, naszym wybitnym specjalistą w zakresie gospodarki wodnej i budownictwa wodnego, współtwórcą programu „Wisła", o którym to programie w ub. r. obszernie pisaliśmy. O rozmowę z Profesorem prosili nas m. in. Marcin Gruszka i Paweł Gąsiorowski, mieszkańcy Sandomierza. *„Odbyliśmy wiele wycieczek brzegami Wisły – piszą. – Ta rzeka, choć zanieczyszczona, jednak jest piękna. Z wysokich brzegów rozciągają się wspaniałe widoki na wodę i na ławice, gdzie przebywa mnóstwo ptaków, a zarośla przybrzeżne, to czasem prawdziwa dżungla. Tylko czy to, co jest takie dzikie i piękne, zachowa się, gdy ta rzeka zostanie uregulowana? Co Pan Profesor o tym sądzi?"*

Niełatwo było nam tym razem spełnić życzenie Czytelników, bowiem prof. Tuszko okazał się jednym z najbardziej chyba zajętych ludzi w Polsce. Znalazł jednak między jedną a drugą konferencją, w jakich ciągle uczestniczy, dłuższą chwilę na rozmowę.

Fot. T. Kłosowski

WIŚLANE WICI

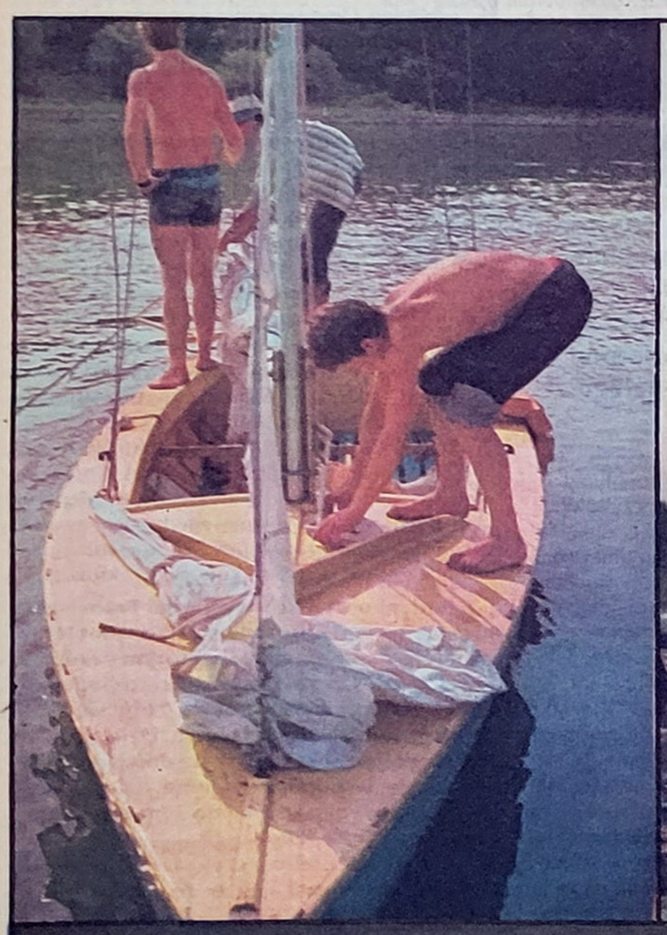

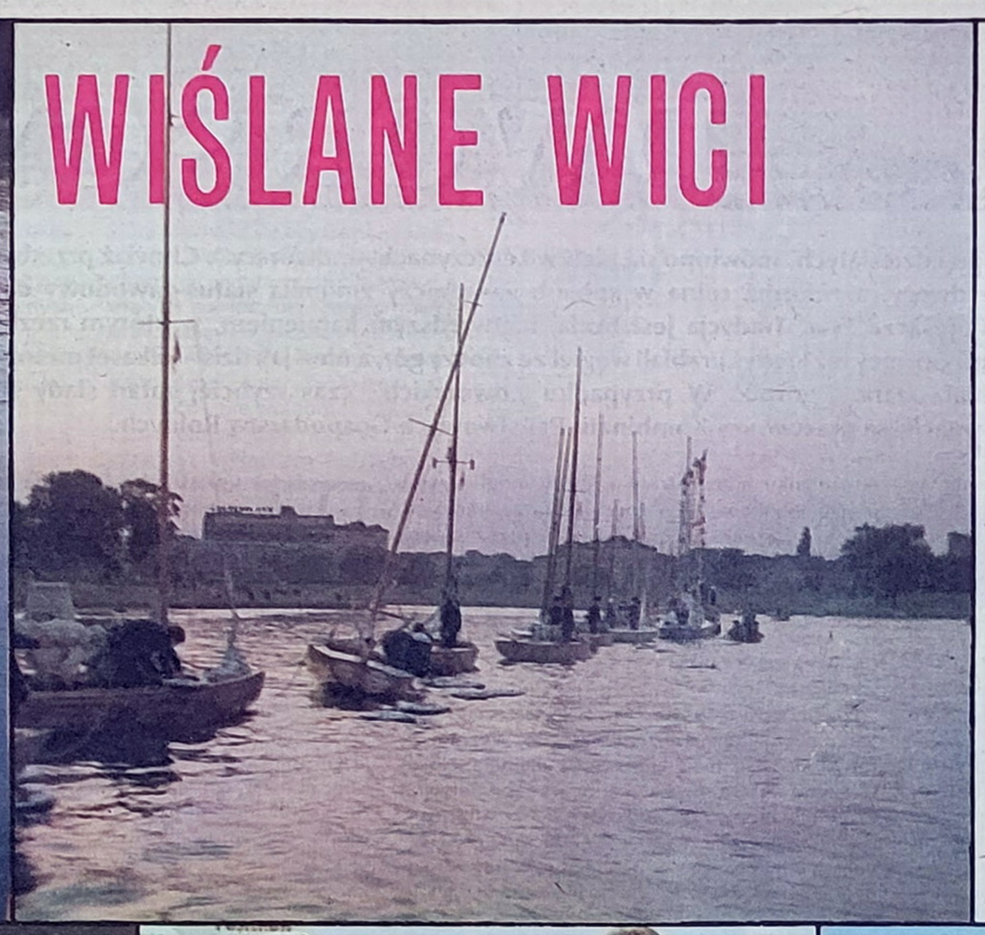

Sześćdziesiąt łodzi przypłynęło już z Krakowa do Płocka. Tu uczestnicy harcerskiego spływu wzięli udział w Centralnym Zlocie Drużyn Sztandarowych. Wrażeń z wodnej włóczęgi mają co niemiara. Trudny był to rejs, gdyż wiatry nie były zbyt przychylne dla żeglarzy a i nawigacja po Wiśle nie jest sprawą prostą. Ale warto było – trudy wynagrodziły bowiem piękne krajobrazy nadwiślańskich ziem, codzienne ogniska, spotkania z ciekawymi ludźmi, mieszkańcami wsi i miast leżących nad Wisłą. I jeszcze jedna korzyść – większość uczestników zdobyła stopnie żeglarskie. (pas)

Fotoreportaż
Kajetana Adamowskiego

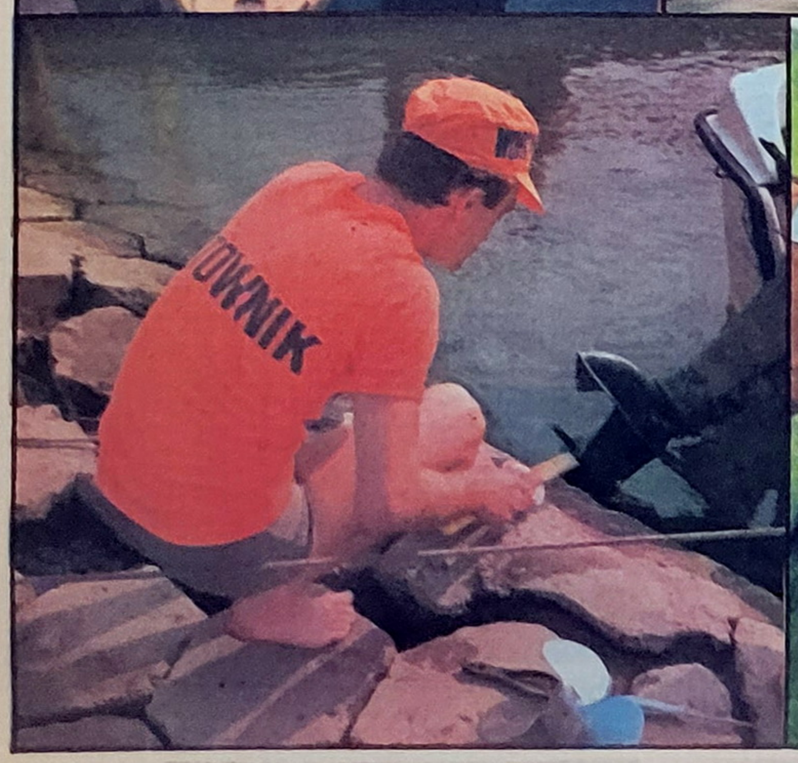

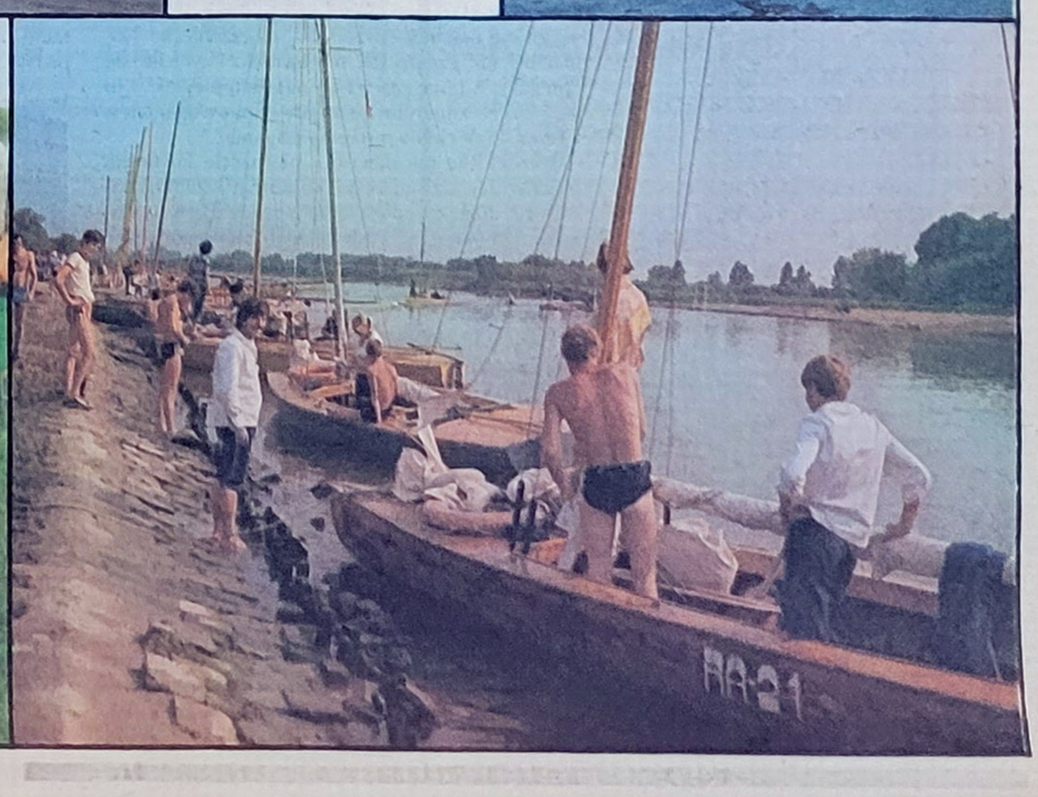

Stworzymy nowe nadwiślańskie krajobrazy...

CIĄG DALSZY ZE STR. 3

nowanym kanałem? Czy będą tu żyły ptaki, ryby?"

– Troska o to nie jest dla nas, budowniczych, niczym nowym! Gdy budowaliśmy Rożnów, uczeni tej miary co prof. Szafer ostrzegali: „Uważajcie, wchodzicie w unikalny, górski krajobraz". Te głosy przyrodników i humanistów zostały uwzględnione. I gdy dziś patrzę na rożnowskie jezioro, pięknie wkomponowane w lesiste zbocza, na ludzi wypoczywających tu naprawdę na łonie natury, myślę: tak właśnie powinno to wyglądać...

Jeżeli będziemy przekształcać przyrodę w zgodzie z jej prawami, stworzymy nowe wartości. Czy słyszał pan o „pojezierzu warszawskim"? Gdy skaskadujemy Wisłę, powstaną tu nowe zbiorniki w otoczeniu lasów – kampinoskich, otwockich... Wspaniały system klimatyzacji dla Warszawy, a jakie warunki dla wypoczynku! To będą sztuczne twory – a przecież zbliżające ludzi do przyrody. Oczywiście pod warunkiem, że Wisła będzie czysta, a to jest jeden z celów naszego programu.

– W jego realizacji wezmą udział także ludzie bardzo młodzi, m. in. działający w ramach Harcerskiej Służby Wiśle. Jakie widzi Pan dla nich zadania?

– Wiadomo, że naszemu rolnictwu potrzeba wody. Bo do niedawna, choć przed tym przestrzegaliśmy, wszyscy – jak za panią matką pacierz! – rwali się do odwadniania. Trzeba teraz – i tu młodzież może dużo pomóc – odbudować sieć gromadzących wodę małych zbiorników, tzw. małą retencję...

– ...której podobno jest Pan przeciwnikiem?

– Tak mówią ci, którzy mnie nie rozumieją. Zawsze powtarzam: przyroda nie znosi recepty! Nie wszędzie ma sens odbudowa małych zbiorników, bo zmieniły się w międzyczasie stosunki wodne, roślinność. Zresztą – gdy już rolnik zgromadzi wodę w takim zbiorniku, nikt go nie zmusi, by ją wypuścił w okresie suchym, kiedy będzie dlań skarbem. A przecież tej wody będzie w tym suchym okresie potrzebowała także rzeka przepływająca przez zbiornik – do obrony przed ściekami, do samooczyszczania. W dostarczeniu tej wody muszą więc pomóc wielkie zbiorniki, mała retencja musi być wspierana przez dużą.

– Ale Wisła – to nie tylko woda i budownictwo wodne. To także zabytki, legendy, zwyczaje, krajobrazy... Wiele z nich odejdzie w przeszłość...

– Dotyka pan sprawy, która mnie od dawna frapuje. I boli... Bo też wiąże się z pewnym nie zrealizowanym zamiarem. Czy zna pan książkę Ludwiga „Nil – życiorys rzeki"? Wspaniała rzecz! Ja też myślałem o takim zapisanym życiorysie Wisły. Trudne zadanie – tu trzeba sięgnąć do setek dokumentów, co mnie zresztą zawsze pasjonowało. Ale nie napisałem tej książki. Zbyt wiele miałem przeszkód, zabrakło mi poparcia, środków. To przykre sprawy – nie chcę teraz do nich wracać.

Ale myślę, że odtwarzanie tego życiorysu Wisły, tworzenie wiślanej kroniki – to wspaniałe zadanie dla harcerzy. To by młodych ludzi naprawdę związało z tą sprawą. Bo programowi Wisła potrzeba szerszej propagandy. I tu właśnie harcerstwo może wiele zrobić. Nie brak wam przecież ludzi zdolnych, którzy tę sprawę spopularyzują. Umiejętnie, bez powtarzania komunałów. Trzeba, by wszyscy ludzie, a zwłaszcza młodzi, którym wprowadzanie w życie tego programu przypadnie w udziale, mieli szansę zrozumieć, że jest on niezbędny, a osiągnięcie wytyczonych przezeń celów – możliwe.

– Bo głosów niewiary, zdaje się, nie brak?

– Są tacy, którzy mówią: „Porywacie się z motyką na słońce." Inni pytają: „Czy nie mamy pilniejszych potrzeb?"

Popatrzmy trzeźwo. W ciągu minionego trzydziestolecia rozwinęliśmy przemysł, można rzec, fantastycznie! Dziesiątki tych przemysłowych smoków zanurzyło w Wiśle swoje paszcze, tyle samo – kolektory ścieków. Słowem – miliardy, a może i biliony zainwestowaliśmy w pewnym sensie przeciw Wiśle. A co dla niej zrobiliśmy? Bardzo mało! I dlatego jest dziś tak znękana, zaniedbana i brudna.

W latach 50-ych zarysowaliśmy wspaniałą perspektywę rozwoju naszej gospodarki wodnej do 1975 r., kiedy to nasze wody miały być zagospodarowane. Dużo planowaliśmy, jeszcze więcej mówiliśmy, a ile z tego zostało zrealizowane? Może kilkanaście procent. Stąd się wziął mój pesymizm w tych sprawach, na który różni ludzie wielokrotnie zwracali mi uwagę.

Dziś jestem optymistą. Umiarkowanym. No, bo gdy np. pomyślę, że w 2000 r. mamy mieć w Wiśle 40% wód pierwszej klasy czystości, to czasem sam w to nie bardzo wierzę, skoro dziś wiele jej odcinków jest poza wszelką klasą. Ale wiem, że zagospodarowanie Wisły, a tym samym krajowych zasobów wodnych, jest już tak konieczne, że się przed nim nie możemy cofnąć, bo oznaczałoby to zastój naszej gospodarki.

Więc – zapewne nie cofniemy się...

Rozmawiał
TOMASZ KŁOSOWSKI

*) **Rożnów – zapora na Dunajcu, budowana w latach 1935–39, jeden z pierwszych etapów zagospodarowania dorzecza Wisły.**

Tu konkurs 49

Tu konkurs 49

KLAN

KOMUNIKAT SPECJALNY NR 2

W naszym Konkursie 49 nadal prowadzi województwo tarnowskie (54 pkt) przed przemyskim (16 pkt). Na trzecim miejscu zaszła zmiana; znalazło się na nim województwo łomżyńskie (12 pkt), a nowosądeckie spadło z trzeciego na czwarte miejsce mając 5 pkt.

Konkurs 49 trwa nadal. Czekamy na Wasze meldunki z realizacji zadań specjalnych. Na kopertach nie zapominajcie podać swojego adresu; tylko takie listy liczę się w punktacji. Przypominamy, że 50 pierwszych meldunków zdobywa punkty dla swojego województwa. Na listach podajcie też numer zadania, o którym piszecie.

Cześć!

Szef KLAN

DWORSCY

Kiedyś, nawet jeszcze w latach pięćdziesiątych, mówiono na nich w Leszczynach – „dworscy". Chociaż przedwojenni właściciele ziemscy opuścili swe dwory, a reforma rolna w sposób zasadniczy zmieniła status zawodowy dawnych „dworskich", to nazwa jakiś czas jeszcze żyła. Tradycja jest bodaj najtwardszym kamieniem, w którym rzeźbi czas, najtwardszym i najbardziej trwałym. Górnicy też kiedyś urabiali węgiel ze zboczy gór, a nie – jak dziś – kilkaset metrów spod ziemi, ale nazwa zawodu pozostała stara – górnik. W przypadku „dworskich" czas szybciej zatarł ślady starego. „Dworskich" już nie ma w Leszczynach, są pracownicy Kombinatu Państwowych Gospodarstw Rolnych.

Ziemia dopiero co krzepła od wojennej kurzawy, jeszcze pługi wyrywały z niej zardzewiałe żelastwo, było chudo i głodno, gdy ci pierwsi przyszli ją obrabiać. Nie bardzo było czym pracować – więc podwoili wysiłek; była zaniedbana – trzykroć pracowali i czekali na odpowiedź – jak teraz będzie?

Pierwsze zarobki były niskie, ale stałe. Przydział ziemniaków, żyta, pszenicy, mleka pozwalał zaoszczędzić na coś innego. Przywieziono materiały ubraniowe, odzież, obuwie.

Pewnego dnia do magazynu PGR wszedł człowiek, którego ludzie dobrze pamiętali. Przedwojenny właściciel ich ziemi. Milczeniem odpowiedzieli na jego pozdrowienie. Podszedł do magazynierki Marty Hajzyk i zagadał: „Dobrze było, Hajzykowa, przed wojną, lepsze były czasy, teraz jakoś wszystko się zmieniło..." – „Takie były czasy, że nie płaciłeś – przerwała magazynierka. Nie płaciłeś tak często jak trzeba było i tyle ile się należało. A teraz płacą i pomagają lepiej żyć. I to się jeszcze zmieniło, że wtedy ty nas poganiałeś, a teraz... my ciebie możemy poganiać."

Jeszcze nie tak dawno – piętnaście lat temu, pracownicy dzisiejszego kombinatu zamieszkiwali nieduże osiedle starych, zaniedbanych domów. Były to osiedla „dworskich", a nowoczesne bloki budowano przede wszystkim dla górników kopalni „Dębieńsko". Na PGR kolej przyszła trochę później.

Franciszek Buchta, dziś emeryt, pracował tu jeszcze przed wojną. Patrzy z budynku dyrekcji kombinatu na nowe osiedle zgrabnych, kolorowych domów.

– Nas było w domu dziesięcioro – wspomina – mieszkaliśmy w jednej, wilgotnej, ciasnej izbie. Klepisko zamiast podłogi nikogo nie dziwiło. Tak mieszkało wtedy wielu „dworskich". Teraz nawet krowy w kombinacie mają więcej wody. Moje dzieci mają duże mieszkania w nowych blokach.

Pod koniec lat sześćdziesiątych ludzie z PGR w czynie społecznym wysypali żużlem drogi w Leszczynach. Urząd gminny wypłacił obiecaną nagrodę pieniężną, za którą kupiono jeden z pierwszych telewizorów. Aparat postawiono w budynku administracji i każdy mógł przyjść popatrzeć. Pierwszego dnia więcej zaglądano od tyłu niż na ekran. Ludzie pukali, przez szpary zaglądali do środka, czasem wygrażali, ale... ze skrzyni nikt nie wyszedł. Uwierzyli po wielu godzinach czuwania.

Mniej więcej w tym samym czasie – wspomina dyrektor kombinatu w Leszczynach, Tadeusz Iskrzycki – nazwoziliśmy do gospodarstwa tyle „dziwów", że teraz dopiero było się czego bać. Samo nawoziło, siało, żęło i młóciło. Wczorajszy fornal siadał dziś za kierownicą ciągnika. Nowe maszyny zlikwidowały gospodarkę prymitywną i zmieniły mentalność ludzi. U nas nazwaliśmy to początkiem epoki telewizora i końcem epoki fornali – z koni na ciągniki, a z ciągników na kombajny, taka była kolejność. I dziwili się starsi jak to jest, że przed wojną rosła tu „mietlica", a teraz takie zboże? Młodzi już tego nie zaznali, przyszli prosto do maszyn.

Dziadek i pradziadek Bernarda Buchty zdziwiliby się bardzo, gdyby to zobaczyli: kilometr drogi do pracy, a... Bernard podjeżdża Fiatem. Za ich czasów do Rybnika, 14 kilometrów, chodziło się pieszo. Ojciec, Franciszek Buchta, już to rozumie, sam kiedyś miał samochód. Ale pamięta też, jak w zimie jechał otwartym ciągnikiem do Opola po materiały i żeby nie odmrozić stóp, grzał je od silnika.

Kierownik Warsztatu Naprawczego KPGR w Leszczynach, Bernard Buchta, jest młody, w przyszłym roku dołączy dopiero do pokolenia 30-latków, chociaż syn Marek i córka Beata chodzą już do szkoły. Szczupła, pociągła twarz, spokojne dłonie, w rozmowie krótkie zdecydowane zdania wskazują na człowieka energicznego i pewnego każdej swojej decyzji. Jak trafił do kombinatu? – Z latami zaczynam rozumieć, co to jest tradycja – tłumaczy. – Na tej ziemi pracowała moja rodzina do czwartego pokolenia wstecz. Ja tu nie przyszedłem, ja tu wróciłem, bo pierwszą pracę zawodową podjąłem w kopalni. Teraz wiem, że tu już zostanę, tym bardziej że praca mechanika w rolnictwie jest ogromnie ciekawa i wbrew pozorom wymaga większej wszechstronności niż w górnictwie. Skończyłem technikum wieczorowe, ale niedługo trzeba będzie pomyśleć o politechnice.

Bernard jest jednym z tych, którzy nigdy nie zawodzą. Potwierdza to dyrektor kombinatu. To mu pozostało po ojcu i dziadku. Chociaż razem z pracującą żoną wychowuje dwoje dzieci, nie zdarzyło się jeszcze, żeby go zabrakło, gdy wypadnie pilna robota po godzinach pracy. Podobno taka jest cała załoga.

Kilka lat temu przedwiośnie było mokre i chłodne. Deszcz ze śniegiem smagał twarze i dłonie ludzi pracujących w polu. Przedwiośnie – pora roku, która w decydującym stopniu przesądza o plonach żniwnych. Kończyła się i tak już przedłużona dniówka ludzi z pola, gdy przyszedł meldunek o transporcie nawozów stojących na bocznicy stacji PKP.

Dyrektor nie chciał pójść sam do ludzi. Poszli we trzech: z sekretarzem KZ PZPR i przewodniczącym Rady Zakładowej. Do rozładunku mieli pójść tylko ci, którzy mogą, na ochotnika. Poszli wszyscy mężczyźni i pracowali do 2 w nocy. Tego samego dnia, gdy rozpoczęła się nowa dniówka, nikogo z „nocnej zmiany" nie zabrakło. O tym wydarzeniu dyrektor Iskrzycki opowiada z zażenowaniem, jakby się obawiał, że dziś trudno uwierzyć w taką ofiarność ludzi.

– Stefan Burzyński, Marta Hajzyk, Gertruda Kiełkowska, Łucja Wielosik, Franciszek Gołąbek, Augustyn Michalczyk, rodziny Płaczków, Mentelskich, Buchtów – oni najlepiej wiedzą ile razy do 8 godzin dokładali 10 następnych. Zapewniam, że nie będą się tym chwalić – kończy dyrektor.

Z budynku dyrekcji wychodzi Franciszek Buchta z synem Bernardem. Przez płot teraz sąsiaduje z kombinatem, w którym przepracował 31 lat. Często przychodzi tu pogawędzić. Czasem krzyczy z okna, żeby się brali za robotę, bo zła pogoda idzie. Dzisiaj znów przyszedł, jak zawsze, gdy się dowiaduje, że będzie się wspominać dawne dzieje. Wychodzi z budynku i mówi do syna otwierającego drzwi Fiata 125p:

– Gdyby tak nieboszczyk starzyk wyszedł z grobu i zobaczył, jak ty te pięć kroków jedziesz do roboty autem, to by cię spieronił i by się do ciebie nie przyznał.

ST. WOŹNICA

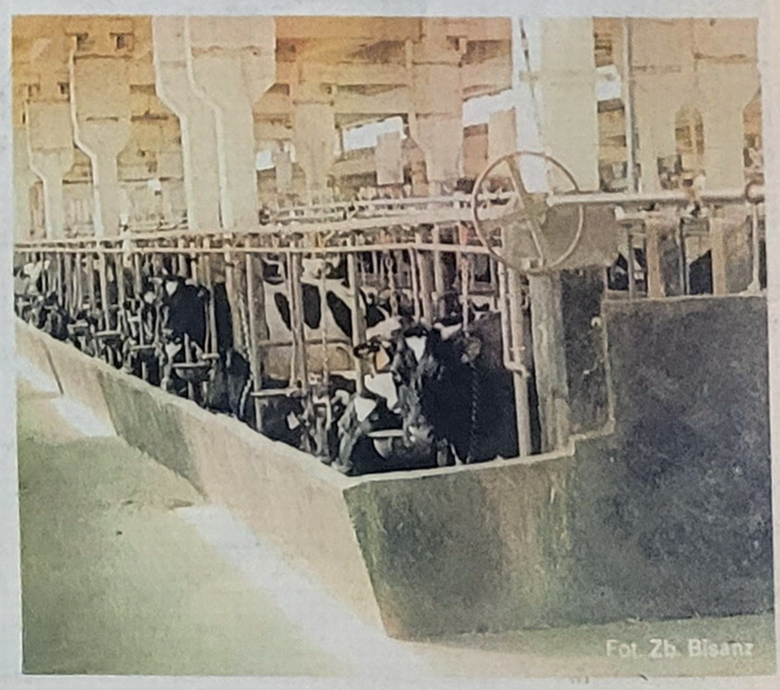

Fot. Zb. Bisanz

PZL-M-20 „Mewa", zwana popularnie taksówką powietrzną, to maszyna bardzo szybka w swojej klasie. Rozwija prędkość ponad 350 km/godz., a jej zasięg wynosi 1600 kilometrów

Symbol mieleckiej Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego – wytwarza się tu również silniki, samochody chłodnie, „Melexy"

„DUDEK – KUDŁACZ" BYŁ PRZED „MEWĄ"

Wypłowiał błękit nieba. Zrudziałą trawę lotniska dzieli na dwie nierówne części białobeżowy beton pasa startowego. Słoneczny blask bije w oczy, upał odbiera siłę do wykonania choćby najmniejszego ruchu.

W rozedrganym od gorąca powietrzu zacierają się kontury sylwetki niewielkiej dwusilnikowej maszyny. Łopaty śmigieł sterczą nieruchomo. Ale samolot pchany przez kilku rozebranych do pasa mechaników powoli sunie w naszym kierunku.

Stoimy przed hangarem na lotnisku Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego w Mielcu, a inż. Krzysztof Piwek mówi, że mieliśmy sporo szczęścia przyjeżdżając właśnie dziś, bo niedługo ekipa przystąpi do pierwszego testu silników. Konkretnie chodzi o próbę instalacji olejowej.

Mamy jeszcze chwilę czasu, więc pytam inżyniera, jak to się stało, że trafił tu, do Mielca, dlaczego wybrał zawód konstruktora lotniczego. Ale spotyka mnie zawód, nie doczekam się romantycznej historii o młodym człowieku, którego urzekł czar przestworzy. Życiorys inżyniera jest prosty i konsekwentny jak równanie matematyczne. Tak, interesował się lotnictwem, jako młody chłopak coś tam nawet dłubał w modelarni, wybór kierunku studiów mógł więc być tylko jeden, mowy nie było o tym, żeby zastanawiać się nad jakąś inną możliwością. Z dyplomem Politechniki Warszawskiej w ręku podjął tylko jedną, jego zdaniem, właściwą decyzję: rzucam stolicę – jadę do Mielca, bo gdzie indziej lepiej nauczę się budować samoloty jak nie w czołowej fabryce polskiego przemysłu lotniczego.

Tymczasem samolot ustawiany jest na polu prób. Pod koła idą kliny, one z kolei opierają się na solidnej stalowej szynie niczym próg sterczącej z betonu.

Z obu stron maszyny zajmuje stanowisko obsługa gaśnic. A ekipa inżyniera Piwka sadowi się we wnętrzu samolotu, na którego silnikach wypisano czarną farbą symbol PZL-M-20. Uważni czytelnicy prasy, interesujący się lotnictwem, z pewnością nie przeoczyli depeszy Polskiej Agencji Prasowej, przedrukowanej przez większość gazet krajowych. Informowała ona, że w Mieleckiej Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego przystąpiono do prób naziemnych nowego polskiego samolotu pasażerskiego PZL-M-20 „Mewa", zwanego popularnie taksówką powietrzną, a w szczególności rozlicznym kontrolom i testom poddany zostanie silnik.

– Od śmigieł, 830... słowa komendy głuszy huk uruchamianych motorów samolotu.

„Mewa" drga i szarpie się pobudzona mocą silników, a unieruchomiona kleszczami podstawek pod kołami. Większe obroty, cały gaz, redukcja. Co dwie minuty pilot otrzymuje polecenie zmiany obciążenia silników. W tabele pomiarowe wpisywane są wskazania przyrządów pokładowych. Ten dość niezwykły „lot", bez odrywania się od ziemi trwa nieco ponad 10 minut.

– Przelecieliśmy około 50 km – tłumaczy inżynier – teraz rozdeklujemy silnik i dokładnie sprawdzimy każdy element. Wskaźniki wskaźnikami, ale nie zawadzi samemu przekonać się jak spisały się poszczególne podzespoły instalacji olejowej.

Silniki to bodaj najciekawsza część „Mewy". Także dla tych, którzy niewiele znają się na sekretach ich konstrukcji. Bo silnik PZL – Franklin otacza Wielka Tajemnica. W Mielcu mówi się o tym z obojętną miną, skąpiąc szczegółów, każde niemal zdanie opatrując zastrzeżeniami „prawdopodobnie", „jak słyszałem". Franklin Engine Co.Inc – firma amerykańska, znana i należąca do światowej czołówki wytwórni małych samolotów – zbankrutowała. Mimo nowoczesności swoich produktów nie wytrzymała konkurencji. Chętnych do wykupienia fabryki było sporo. Gra warta świeczki, bo przejęcie Franklina równało się uzyskaniu dostępu do nowoczesnej konstrukcji i technologii wytwarzania silników do małych samolotów. Przetarg wygrali Polacy i w zasadzie nic więcej – poza informacją, że zakupu dokonano przez amerykańskiego pośrednika – nie wiadomo. Tajemnica handlowa. Cały majątek „Franklina", z wyjątkiem hal fabrycznych i ludzi zapakowany został w skrzynie i przewieziony do Rzeszowa. Tamtejszej Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego powierzono produkcję silników, do nazwy których dodano tylko litery „PZL".

Inżynier Piwek twierdzi, że rzeszowskie „Frankliny" spisują się lepiej od motorów Continental, powodują np. dużo mniejsze drgania kadłuba samolotu. W zasadzie też, co uważa za najtrudniejszy etap w opracowywaniu produkcji „Franklinów" – zakończono proces przystosowywania tego silnika do polskich materiałów.

Samolot, którego próby oglądamy, jest, jak to się określa w Mielcu, półprototypem. Silniki i instalacja sterowana nimi jest w całości wykonana w Polsce. Reszta, czyli elementy kadłuba zakupione zostały w firmie „Piper". Jest to jeden z najbardziej znanych zachodnich koncernów specjalizujących się w wytwarzaniu lekkich samolotów. Z czasem – są już zawarte konkretne umowy z „Piperem" – wszystkie elementy kadłuba i wyposażenia będą robione w polskich fabrykach.

Słuchając objaśnień na temat „Mewy" pozwalam sobie na uwagę, że chyba nie jest to samolot tak bardzo nowoczesny, skoro „Piper" zgodził się na sprzedaż licencji. Wywołuję tym oburzenie moich rozmówców, którzy natychmiast zasypują mnie gradem danych technicznych dotyczących czegoś wręcz przeciwnego. Jest to – dowiaduję się – model będący w ciągłej produkcji u „Pipera", dwa lata temu zdobył miano najpopularniejszego w swojej klasie samolotu na świecie. Oczywiście firma ta produkuje maszyny bardziej wyrafinowane technicznie, bardziej luksusowe, powiedzmy, takie latające gabinety dyrektorskie. Ale nam nie są potrzebne takie maszyny. Natomiast pierwszorzędne znaczenie ma dla nas samolot, który może służyć do szybkiej komunikacji między miastami, dla lotnictwa sanitarnego, będzie przydatny w dużych przedsiębiorstwach przemysłowych, zjednoczeniach, a nawet PGR-ach, który wreszcie może pełnić funkcję taksówki powietrznej, służyć do przeciwpożarowych lotów patrolowych nad lasami, w służbie ochrony wód morskich przed zanieczyszczeniami itp. W maszynie znajduje się szereg rozwiązań i urządzeń, opanowanie produkcji których popchnie do przodu stopień zaawansowania technicznego naszego przemysłu lotniczego. Chodzi tu przede wszystkim o tworzywa sztuczne w konstrukcji kadłuba i urządzenia radionawigacyjne – np. auto-pilot, zespół tzw. ścieżki schodzenia oraz transponder – urządzenie, które identyfikuje poszczególne maszyny.

„Mewa" jest czwartym samolotem, przy produkcji którego zaangażowany był inż. Piwek. Pracował on w zespole przygotowującym konstrukcję odrzutowego samolotu M-15. Potem siedział nad M-18 Dromaderem (oj! dostaliśmy nad nim szkołę – mówi inżynier – ale warto było, maszyna już cieszy się uznaniem na świecie. Eksperci FAO, którzy oglądali pokaz możliwości tego samolotu byli nim zachwyceni.)

„Mewa" jest trzecia, a czwarty – co to był za samolot – dopytuję się. Zamiast odpowiedzi inżynier prowadzi mnie w kąt hangaru gdzie stoi maleńki biało-wiśniowy samolot ze śmigłem umieszczonym tuż za kabiną pilotów. To „Dudek-Kudłacz" – maszyna, którą na początku lat 70-ych zbudowała grupa wówczas jeszcze studentów Politechniki Warszawskiej. Jednym z nich był inż. Krzysztof Piwek. Samolocik powstawał w nieco konspiracyjnych warunkach dzięki pomocy wielu pracowników wytwórni. Przełożeni dowiedzieli się o nim dopiero wtedy, gdy już trudno było ukryć, że to nad czym godzinami ślęczą studenci ma kształt samolotu.

„Dudek-Kudłacz" wykonał tylko kilka lotów, ale mimo to znakomicie spełniał swoją rolę. Był najprawdziwszą próbą możliwości młodych konstruktorów. To, że 29-letniemu inżynierowi Krzysztofowi Piwkowi, w niespełna 7 lat po zakończeniu studiów powierzono stanowisko konstruktora prowadzącego przygotowania do produkcji „Mewy" jest po części także efektem doświadczeń, które zdobył on pracując nad „Dudkiem".

KRZYSZTOF POTRZEBNICKI
Fot. **Marek Szymański**

W chwilę po pierwszej próbie silników. Inżynier Krzysztof Piwek (w środku) omawia wyniki testów ze swoimi współpracownikami: Maciejem Pietrykowskim i Maciejem Zamojskim

Wnętrze samolotu nie jest zbyt przestronne, ale pięciu pasażerów i pilot mają na pewno więcej miejsca niż pasażerowie małego Fiata

Niech ci bezimienni wiedzą, że największą nagrodą jest wdzięczność ludzi oczekujących na pomoc

Niewidzialna Ręka narodziła się w „Świecie Młodych" w sierpniu 1957 roku, a w roku 1966 przeniosła się do Telewizji Dziewcząt i Chłopców. Od trzynastu lat raz–dwa razy w miesiącu płyną w eter słowa: „Na niewidzialnych mogą liczyć wszyscy, którzy tej pomocy potrzebują!" Zasada NR jest następująca: zgłaszający się zostaje zarejestrowany w kartotece pod określonym numerem i otrzymuje kilka biletów z tym numerem. Od tego momentu tylko on i Centralna Baza Niewidzialnych wie, kto, z jakiej miejscowości kryje się za poszczególnymi numerami. Po wykonaniu pracy Niewidzialna Ręka zostawia swój bilet. Osoba, która bilet znajdzie, odsyła go do redakcji, najczęściej wraz z listem zawierającym wyrazy wdzięczności.

Dla wielu setek tysięcy dzieci biorących udział w akcjach NR wymienienie jego numeru w programie telewizyjnym jest jedyną nagrodą, jaką otrzymują za swoją bezinteresowną pomoc osobom chorym, starym, samotnym, a satysfakcję stanowi udzielenie pomocy potrzebującym.

Spośród tysięcy listów przychodzących na adres Naczelnej Redakcji Programów dla Dzieci i Młodzieży wybraliśmy kilka, mając nadzieję, że cytowane fragmenty oddadzą atmosferę działania Niewidzialnej Ręki.

JERZY PIOTROWSKI, Bydgoszcz:

„Jestem kaleką, korzystam z motorowego wózka inwalidzkiego. Kilka tygodni temu była fatalna pogoda i w czasie jazdy do rodziny mój wózek został ochlapany i zabrudzony. Kiedy po dwugodzinnym pobycie u rodziny chciałem wrócić do domu, zastałem mój wózek kompletnie umyty i oczyszczony z błota, a szyby błyszczące. A na wózku kartka z nr 31241. Nie wiem, kto okazał mi tyle serca. Dziękuję, Niewidzialna Ręko – dziękuję..."

BABCIA MARIA, wieś Cieszyca Górna:

„Mieszkam na wsi. Mam 86 lat. Gdy wstałam w czwartek rano, aby dać kurom jeść – oniemiałam. Wszędzie było uprzątnięte. Przed domem była zrobiona ławka. Furtka i brama zostały naoliwione. Przy schodach zrobiona została poręcz. Na jej końcu przybity był bilet z nr 30860. Dziękuję bardzo niewidzialnym..."

FRANCISZEK GRUSZA, Skarżysko-Kamienna:

„Mieszkam w Skarżysku. Trzy tygodnie spędziłem w szpitalu i byłem bardzo zmartwiony, że na moim podwórku leżały nie zniesione cegły, a padały wówczas okropne deszcze. Byłem bardzo zdumiony, gdy po powrocie ze szpitala ujrzałem puste podwórko, natomiast w komórce leżały poukładane cegły. Na wierzchu leżał bilet nr 2125..."

EUSTACHY MANKIEWICZ, wieś Serbów:

„Kochani Niewidzialni! Kiedy rano się obudziłem i wyszedłem na dwór, zauważyłem coś, co mnie ogromnie wzruszyło. Na kołku od płotu zauważyłem kartkę z numerem 59423. Płot mój był naprawiony, narąbane drewno, co dla mnie, mam już 89 lat, jest niemożliwe. Buda mojego ukochanego pieska była jak nowa. I chcę właśnie podziękować wam za takich dzielnych i wspaniałych chłopców..."

WIESŁAW CZYŻEWSKI, Racibórz:

„Mam matkę inwalidkę I grupy – niewidomą. Jestem uczniem szkoły górniczej i dojeżdżam. Bardzo ciężko było, kiedy padał u nas śnieg. Już o 6.15 musiałem odjechać do szkoły. A piec w naszym domu jest taki, że trzeba podkładać do niego bez przerwy. Gdy wracałem do domu, znajdowałem węgiel i drewno cieniutko porąbane, mleko, chleb i bułki, tak było 10 dni bez przerwy. Wszystko było pod drzwiami. Mama z radości się rozpłakała, mówiła jacy dobrzy ludzie. Chcemy podziękować za dobroć i pomoc i szlachetność Niewidzialnemu 78939. Dziękujemy wam z mamą..."

JADWIGA MIARKA, dyrektor Domu Małego Dziecka nr 1 Kielce:

...„Gwiazdka w Domu Małego Dziecka była szczególnie uroczysta. Dzieci otrzymały paczki z zakładów pracy, było wiele delegacji ze szkół, drużyn harcerskich i przedszkola. Każde dziecko miało w tym dniu kogoś, kto przyszedł wyłącznie do niego i nim się tylko zajmował. Kiedy wszyscy się rozeszli syte wrażeń dzieci poszły spać, jedna z pracownic zakładu spostrzegła, że pod drzwiami Zakładu leży paczka z biletem Niewidzialnej Ręki nr 75702. Zawartość paczki świadczyła o tym, że ofiarodawca podarował dzieciom swoją paczkę, otrzymaną od rodziców i to nas ogromnie wzruszyło... Paczkę otrzymał Piotruś, który nie chodzi od urodzenia. W jego imieniu serdecznie dziękujemy ofiarodawcy i przesyłamy mu zdjęcie Piotrusia..." **(opr. aw)**

5 MINUT Z ANKA

Plecak mam już zapakowany. Jeszcze tylko Azymutka trzymam w ręku, za chwilę i jego wsadzę do jednej z kieszeni, ale na razie niech sobie jeszcze popatrzy. Azymutek to... malutki pluszowy niedźwiadek, którego dostałam od Michała pierwszego dnia pobytu w hucie. Stąd i jego imię.

Jest to niedźwiedź – prawdziwy niemal budowniczy Huty „Katowice". Sam co prawda nie pracował, ale był wszędzie tam gdzie ja byłam i... szeptał mi do ucha: „Nie leń się, Anka, nie leń, nikt tu poprawiać po tobie nie ma czasu!". Po prawdzie, nie musiał mi takich podpowiedzi dawać, ale nie mam mu tego za złe, bo dobrze go rozumiem. Gdybym ja była na jego miejscu, też bym tak mówiła. No, ale ja nie jestem żaden niedźwiedź pluszowy tylko człowiek. Który ma dwie zdrowe ręce. I wie do czego te ręce służą. Właściwie, to nie jestem wcale taka pewna, czy przedtem, zanim tu przyjechałam, wiedziałam to tak na pewno, ale teraz już wiem. Bo tutaj, w hucie, to się wie. Wystarczy popatrzeć tylko na ten gigant i... robisz się całkiem malutki, nikniesz wobec ogromu kombinatu. Ale z drugiej strony, przecież wiesz, że wszystko to dookoła, co tak zachwyca i fascynuje, to przecież nie spadło z kosmosu, ale jest dziełem ludzi. I wtedy czujesz autentyczną dumę. Słowo honoru!

Ja wiem, to pewnie brzmi górnolotnie i pompatycznie. Sama tak myślałam nieraz jak czytałam takie słowa w różnych gazetach. Bo jak się tylko czyta, to tak to wygląda, śmiesznie jakby nawet... Dopiero jak stanie się oko w oko z tym kolosem, to można zrozumieć, że piękna to sprawa, że ludzie coś tak ogromnego mogą stworzyć. I nie może być wtedy inaczej tylko musisz, bo wiesz, że naprawdę tego chcesz, starać się dołożyć swoją, choćby i najmniejszą, cegiełkę do tego dzieła.

Hm, zdaje się, że znowu zbyt napuszonych słów używam. Nie chciałam. Ale nie mogę prościej, nie potrafię. Śmieszne, zawsze myślałam, że istota ze mnie wygadana i słowami każdą myśl jestem w stanie wyrazić, a teraz – robię się bezradna. Bo taki mam w głowie natłok różnych myśli, różnych wrażeń, że zebrać tego w jakąś rozsądną całość po prostu nie jestem w stanie. Więc tylko stoję. I patrzę. I cieszę się, że mogłam tu być, że mogłam tu przez kilka dni pracować. Patrzę i myślę, że nie jest to jakaś huta, ale moja huta, nasza.

Kilka chwil mi zostało ostatnich. Chcę sobie ten obraz utrwalić w pamięci. Przymykam oczy... mam go, na długo a może na zawsze. Zabiorę go ze sobą do domu...

ANKA

MAREK DUTKIEWICZ:

PISZĘ DLA KONKRETNEGO ODBIORCY...

– Od jak dawna piszesz teksty piosenek, czy pamiętasz ten pierwszy?

– Pierwszym tekstem, który napisałem, był utwór „Chodź, pomaluj mi świat" – także od tego momentu zaczęła się moja współpraca z Januszem Krukiem. Poznaliśmy się podczas nagrania płyty Katarzyny Gärtner „Na szkle malowane".

– Iloma piosenkami możesz się dziś pochwalić?

– Ponad setką, z tym że oczywiście zaledwie niewielki ich procent stał się przebojami, takimi jak „Bądź gotowy do drogi", „Wyspa dzieci", „Podaruj mi trochę słońca", „Idzie na deszcz", „California mon amour"...

– Kompozytorzy i wykonawcy, z którymi najchętniej i najczęściej współpracujesz...

– Wojciech Trzciński, Janusz Kruk – to kompozytorzy. A wykonawcy? Krystyna Prońko, oczywiście „Dwa Plus Jeden", Halina Frąckowiak, ostatnio zespół „Kombi" i Anna Jantar...

– Dlaczego właśnie ci, a nie inni?

– Najwygodniej pracuje się z dobrymi znajomymi, bądź osobami, z którymi porozumienie nie nastręcza zbytnich trudności. Stąd właśnie taka, a nie inna lista.

– W Twoich tekstach znajduję realia dnia dzisiejszego; współczesnego bohatera – Zbyszek Cybulski w „Aktorze", nazwy miast i ulic – w „Ding-dong", coca colę w „Bądź gotowy do drogi"...

– Nie wyobrażam sobie piosenki, która nie miałaby konkretnego adresata. Załóżmy, że spróbujemy naszkicować portret tzw. idealnego odbiorcy moich piosenek. Jest to osoba żyjąca współcześnie, w tych samych co my realiach, w tych samych czasach – tu i teraz. A przy tym chciałbym, żeby to był ktoś, kto naprawdę słucha tego, co usiłuję przekazać.

– Unikasz opisów przyrody, nieszczęśliwej miłości, stronisz od smutku i rozpaczy...

– Zgoda co do opisów przyrody, chociaż miałem kiedyś okres twórczości bukolicznej – na szczęście niezbyt długi. Sądzę, że każdy, kto pisze, musi przez to przejść jak przez koklusz. Natomiast nie zawsze moje teksty są promienne i słoneczne – choćby „Idzie na deszcz" czy „Windą do nieba" pisane były jako mikroscenki raczej dramatyczne niż komiczne.

– Czego jako „tekściarz" oczekujesz od kompozytora? Czego od wykonawcy?

– Szczypty inteligencji i wrażliwości.

– W której z Twoich piosenek tekst, muzyka i wykonanie stanowią jedną, nierozerwalną całość?

– Jako pierwsze przypominają mi się dwa tytuły: „W cieniu dobrego drzewa" i „Niech moje serce kołysze ciebie do snu". Nie zawsze wyłącznie interpretacja decyduje o tym, czy dana piosenka wytrzyma próbę czasu. Często jest to także aranżacja, zbytnio ulegająca doraźnej modzie.

– Interesują Cię większe formy, czego przykładem „Aktor"...

– Jak na razie jest to pierwsza próba, choć mam nadzieję, że nie ostatnia. Z tej pierwszej nigdy nie byłem w pełni zadowolony. Nikt nie potrafił tej suicie nadać właściwego, adekwatnego kształtu scenicznego. Także nagranie płytowe nie jest wolne od szeregu usterek, choćby znikome zróżnicowanie planów muzycznych. Rzecz nie jest jeszcze skończona; w redakcji filmów muzycznych warszawskiej TV czeka na realizację mój scenariusz filmu opartego na motywach suity. Ale czeka tak już od pół roku...

– Czy nie uważasz, że oceniając polską piosenkę zbyt dużo mówi się o jej tekście, mniej o muzyce?

– Większość z tych, którzy piszą o piosence, przebrnęła kiedyś przez Elementarz Falskiego, natomiast czytanie nut stanowi już dla nich pewien problem... Moim zdaniem teksty piosenek należy pisać nie tylko dla konkretnych wykonawców, lecz także, a może przede wszystkim, dla konkretnych odbiorców. Innym słownictwem, nie mówiąc już o problematyce, należy operować w prostym, rockowym utworze dla nastolatków, a diametralnie różnym w jazzowej balladzie, wyśpiewanej na przykład przez Ewę Bem – sztandarową gwiazdę Programu III, adresowanego w zasadzie do młodej inteligencji...

Fot. **Jacek Laskus**

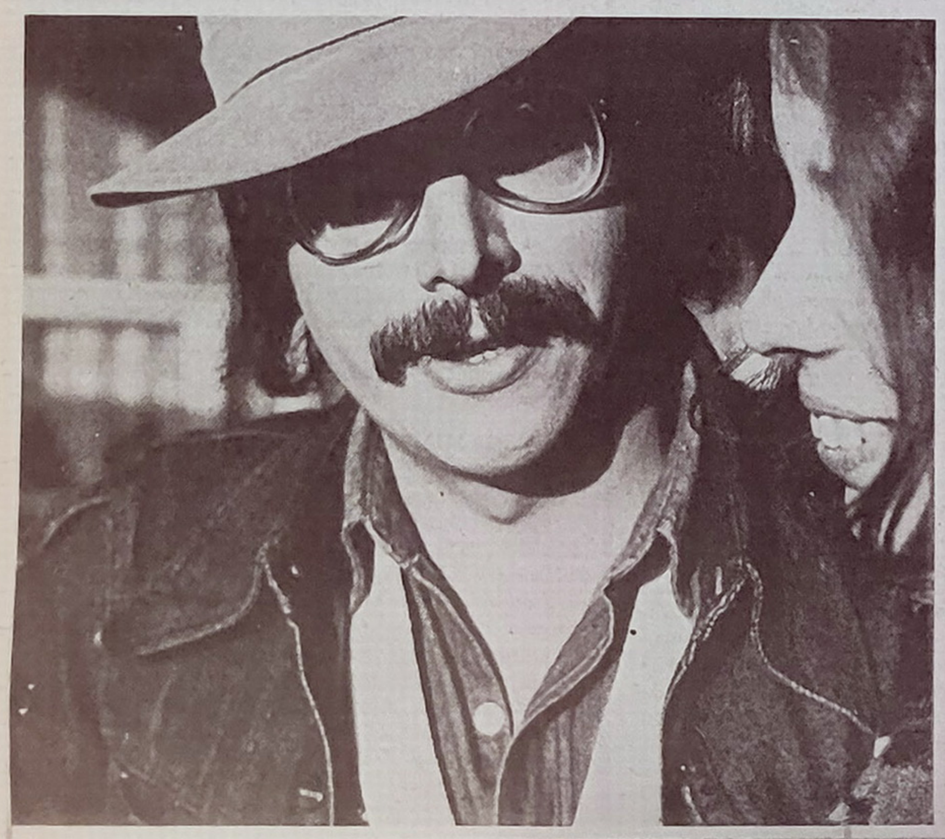

Świat Muzyki
GAZETA MELOMANÓW

Redaguje LECH NOWICKI

SMOKIE

„Naszym ulubionym zespołem jest grupa SMOKIE. Znamy wszystkie jej przeboje, biografie muzyków. Mamy także zdjęcia, ale nie najlepsze i czarno-białe. Podobno drukowaliście „Smoków" w Świecie Muzyki. Niestety, nie możemy zdobyć tego numeru. Założyliśmy się z chłopakami z sąsiedniej klasy, że spełnicie naszą prośbę. Więc jak – zamieścicie kolorową fotografię?" **Uczniowie z Torunia**

Oczywiście zamieszczamy...

Biblioteczka melomana

Od raga do rocka

Joachima Ernesta Berendta, krytyka, organizatora festiwali, współpracownika rozgłośni „Südwestfunk" wielokrotnie cytowałem na łamach Świata Muzyki. Powoływałem się najczęściej na jego książkę „Wszystko o jazzie", jej drugą wersję przetłumaczoną na język polski w roku 1969. Berendt opracował aż cztery wersje tego leksykonu, który tłumaczono w 11 językach, a wydano w nakładzie miliona egzemplarzy. Książka „Od raga do rocka" jest wersją czwartą. Znajdziecie w niej zupełnie nowe rozdziały: 1970; Saksofon sopranowy; Flet; Organy, inne instrumenty klawiszowe, syntezator; Skrzypce, Śpiewacy jazzowi. Dzień dzisiejszy europejskiego jazzu; Gil Evans i George Russel; Ornette i jego następcy; Jazz elektryczny. Autor uzupełnił rozdziały traktujące o jazzie lat siedemdziesiątych, poszerzył fragmenty, w których omawia instrumenty jazzu, przedstawił ponad 150 nowych muzyków oraz zespołów. Z książki wydanej w roku 1968 jedynie 60 stron zachowało się w niezmienionej wersji. Berendt dużo miejsca poświęca jazzowi europejskiemu, zauważa polskich jazzmanów... „Polacy również wzbogacili jazz w duchu swojej tradycji – przede wszystkim dzięki cudownemu pianiście, leaderowi zespołu, kompozytorowi muzyki jazzowej i filmowej, nieżyjącemu już Krzysztofowi Komedzie... Lecz i inni polscy jazzmani są świetni w aspekcie szczególnego rodzaju polskiej wrażliwości: skrzypkowie Michał Urbaniak i Zbigniew Seifert, trębacz Tomasz Stańko, śpiewaczka Urszula Dudziak..." Warto w tym miejscu przypomnieć, że Joachim Berendt otrzymał dwa lata temu odznakę „Zasłużony dla Kultury Polskiej". Zachęcam was do kupna tej książki słowami krytyka muzycznego, jazzmana Andrzeja Trzaskowskiego. „Jest to pozycja popularyzatorska, przeznaczona nie dla fachowców, lecz dla szerokiego grona melomanów, także tych, którzy z jazzem i w ogóle z muzyką stykają się tylko od święta. Odznacza się wartką narracją, łatwym, potocznym językiem, nie stroni od anegdoty, opowiadania o czołowych postaciach jazzu w sposób żywy i bezpośredni. Wiele spostrzeżeń i wniosków uderza swoją trafnością, świadcząc o dużej intuicji autora i rzetelnej znajomości przedmiotu".

California mon amour

Słowa: **Marek Dutkiewicz**
Muzyka: **Janusz Kruk**

Bywa, że spełnia się
najdziwniejszy z przedziwnych sen
Wariat-traf nagle wskaże cię
weźmie cię w ramiona Jumbo Jet

California mon amour
śmieszne niebo, co nie zna chmur
California mon amour
Kodakowy sen, filmowy plusz

California mon amour
śmieszne niebo co nie zna chmur
California mon amour
Kodakowy sen, filmowy plusz

Gdzieżeś znikł słodki dniu
Kto dziś gra San Francisco Blues?
Hollywood utonął w morzu mgieł
a na palmy wolno pada śnieg.

California mon amour
śmieszne niebo co nie zna chmur
California mon amour
Kodakowy walc, wyprzedaż snów

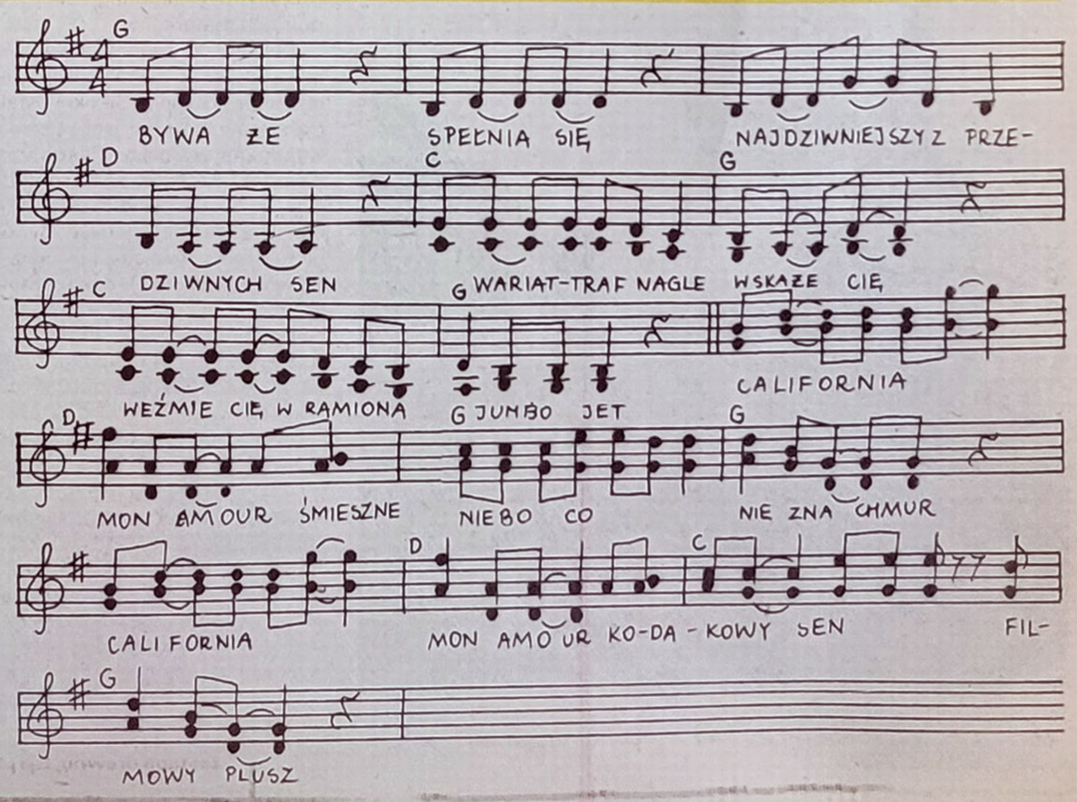

GDYBY PO WRZEŚNIU NIE BYŁO LIPCA

DOKOŃCZENIE ZE STR. 2

Zdolność realistycznego myślenia zaciemniały im interesy polskich obszarników, którzy największe majątki posiadali za Bugiem. Te same „ciemne okulary" w ciągu 20 lat II Rzeczypospolitej nie pozwalały im zrealizować reformy rolnej, podstawowego warunku postępu gospodarczego. Zaciemniał im tę zdolność antyrosyjski nacjonalizm i antykomunizm. Nie mając nic do zaproponowania społeczeństwu w dziedzinie postępu społecznego, próbowali ratować swoje rządy dusz straszące bolszewizmem i żerując na nacjonalizmie.

POLSKA LEWICA SPOŁECZNA DOKONAŁA PIERWSZEGO KROKU W KIERUNKU TEGO ZWROTU ORGANIZUJĄC LUDOWE WOJSKO POLSKIE, KTÓRE RAZEM Z ARMIĄ RADZIECKĄ PRZEBYŁO SZLAK BOJOWY OD LENINO DO BERLINA. POLSKO-RADZIECKIE BRATERSTWO BRONI OTWARŁO DROGĘ DO HISTORYCZNEGO LIPCA.

Co przyniósł ten zwrot w polityce zagranicznej? **Uzyskaliśmy granice jednoczące w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej wszystkie etnicznie polskie ziemie.** Granice Polski Bolesława Krzywoustego. Żyje w nich dziś 35 milionów ludzi czujących się Polakami i będących Polakami. **Nie mamy problemu mniejszości narodowych,** nie grożą nam podziały w tej kwestii. **Mamy przyjaciół wzdłuż wszystkich granic: Związek Radziecki, socjalistyczną Czechosłowację i Niemiecką Republikę Demokratyczną,** pierwsze robotniczo-chłopskie państwo niemieckie, które zerwało z polityką „*Drang nach Osten*". **Naszego bezpieczeństwa, spokoju i pokoju razem z nami broni potężna wspólnota krajów socjalistycznych. Przez 35 lat żaden Polak nie zginął na wojnie.**

BEZPIECZEŃSTWO I POKÓJ STANOWIĄ NADRZĘDNY INTERES KAŻDEGO NARODU. NAM PRZYNIÓSŁ JE LIPIEC 1944 ROKU.

JERZY MAJKA

Pododdział żołnierzy polskich defiluje przez ulice Chełma

Było to przed 35 laty

MAMO! PATRZ, POLSKIE WOJSKO IDZIE

Latem 1944 roku żołnierze 1 Armii Polskiej stacjonowali w przyfrontowych lasach na Wołyniu, pod Kiwercami, już u wrót ojczystego kraju. Armia Radziecka intensywnie przygotowywała się do wykonania kolejnego uderzenia na pozycje hitlerowskie i my, żołnierze polscy, przeczuwaliśmy, że weźmiemy udział w walkach prowadzonych o wyzwolenie Polski.

Był 11 lipca, pogodny, ciepły dzień. Wylegiwaliśmy się na rozgrzanej ziemi pod drzewem, rozleniwieni popołudniowym słońcem.

– Koledzy! – wpadł między nas plut. Tarnacki. – Koledzy, zdaje się, że nasza bateria dziś jeszcze lub jutro wyruszy na front. Mam kolegę w pierwszym pułku artylerii lekkiej. Powiedział mi, że otrzymali rozkaz od dowódcy artylerii pierwszej armii do natychmiastowego wymarszu na pierwszą linię frontu. Podobne rozkazy otrzymały także inne polskie pułki artyleryjskie!

Wiadomość ta poderwała nas na nogi. Bodaj bez rozkazu gotowi byliśmy wyruszyć. Ale okazało się, że tylko 2 polskie brygady i 5 pułków artylerii lekkiej oraz 1 moździerzy zostały wyznaczone do wzięcia udziału w artyleryjskim przygotowaniu natarcia nad rzeką Turią.

– Cholera, co za szkoda, co za szkoda! – denerwował się celowniczy działa kanonier Kulikowski, że też musieli nas pominąć!

Moja bateria artylerii pułkowej 1 pułku piechoty 1 DP im. T. Kościuszki wyszła z Czetwiertni 15 lipca wieczorem i wyruszyła na zachód. Marsz po piaszczystej drodze i w ciemną noc był ogromnie uciążliwy, mimo to przeszliśmy ponad 30 kilometrów. W dzień odpoczęliśmy w przydrożnym lesie, a pod wieczór znowu ruszyliśmy. Kanonierom powieki opadały na oczy, niejeden chciałby choć na chwilę przysiąść na lawecie działa, ale nasze koniska także były umordowane, ciągnęły bowiem nie byle jakie ciężary: działa i wozy załadowane amunicją. Często droga pięła się pod górę, wtedy ostre komendy działonowych podrywały żołnierzy.

– Obsługi do dział! Pomagać koniom w wyciągnięciu dział i wozów!

Wówczas sen ulatywał momentalnie. Ale za chwilę, kiedy droga się wyrównywała, wracał pod znużone powieki. Walczyłem z nim i ja. Wytrzeszczane oczy piekły, jakby kto w nie piachem sypnął. Realne mieszało się z nierealnym, język kołowaciał, nogi niosły automatycznie, niezależnie od woli.

18 lipca o świcie usłyszeliśmy potężną kanonadę artyleryjską, dochodzącą do nas z odległości kilkunastu kilometrów. To do szturmu na pozycje hitlerowskie w rejonie Kowla uderzyły wojska lewego skrzydła 1 Frontu Białoruskiego. Po obiedzie dowiedzieliśmy się o przerwaniu pozycji hitlerowskich i rozwinięciu ofensywy w kierunku zachodnim.

– To ci dopiero była walka! – opowiadał mi potem plut. Segut z 1 pal, kolega z podoficerskiej ławy szkolnej w Siedlcach – piechota radziecka uderzyła na okopy nieprzyjaciela i wnet je zdobyła. Ale hitlerowcy opamiętali się i zaczęli stawiać opór, a nawet kontratakować. Wtedy zmieniliśmy stanowiska ogniowe, podeszliśmy bliżej walczącej piechoty i mocnymi nawałami ogniowymi pomogliśmy odeprzeć hitlerowców w kierunku zachodnim. I tak skutecznie wspierając piechotę radziecką i stopniowo przesuwając do przodu swoje stanowiska ogniowe, dwudziestego lipca doszliśmy do Bugu. Dywizje radzieckie ruszyły do dalszego natarcia, w kierunku na Chełm i Sandomierz, a my zaczekaliśmy na swoją piechotę, aby razem wejść do kraju...

23 lipca ożywił wszystkich, w baterię jakby nowy duch wstąpił. Oto o godzinie 14,00 mostem pontonowym w rejonie Dorohuska przeszliśmy przez graniczną rzekę Bug. Nareszcie byliśmy w Ojczyźnie! Przy dźwiękach orkiestry defilował 1 pułk piechoty przed swym sztandarem dywizyjnym z wizerunkiem Tadeusza Kościuszki. Wszystkich ogarnęło wielkie wzruszenie, polały się łzy, których nikt się nie wstydził. Dotrzymali swego słowa organizatorzy polskich jednostek wojskowych w Związku Radzieckim, doprowadzili swych żołnierzy do kraju i to drogą najkrótszą. Spełniły się nasze marzenia śnione nad Oką. Wracaliśmy do Polski, i to nie jako tłum bezdomnych tułaczy, ale zwarte oddziały wojskowe z bronią w ręku i pod rozwiniętymi sztandarami.

– Mamo! Patrz, polskie wojsko idzie! – zawołał uradowany kilkunastoletni chłopiec do swej matki, stojącej przy drodze za mostem wśród tłumu mieszkańców Dorohuska. – I orły mają na czapkach!

Rodacy witali nas entuzjastycznie. Były łzy radości na nasz widok, były kwiaty, którymi nas obsypywano, były też różne podarunki. Nie było końca okrzykom „Niech żyje Wojsko Polskie!". To wielkie szczęście być tak witanym.

Na postoju nasz zastępca dowódcy baterii do spraw polityczno-wychowawczych, chor. Gąsiorowski powiadomił nas, że 21 lipca Krajowa Rada Narodowa powołała do życia pierwszy w historii narodu polskiego rząd robotników i chłopów – Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego. KRN uchwaliła również dekret o połączeniu Armii Ludowej w kraju z naszą 1 Armią Polską w jednolite Wojsko Polskie, mianując jego naczelnym dowódcą generała broni Michała Rolę-Żymierskiego. Dowiedzieliśmy się też, że PKWN wydał swój historyczny Manifest Lipcowy.

Odpocząwszy nieco, śpiesznie poszliśmy dalej w głąb kraju, serdecznie witani na całej trasie. Na nasze spotkanie wychodzili nie tylko cywile, spotykali nas także partyzanci.

– Niedługo razem będziemy bić hitlerowców. A do artylerii nas przyjmiecie? My, piechocińcy, ale się przestawimy.

– Prosimy bardzo – odpowiadaliśmy. – Czekamy na was. Tylko nie zwlekajcie, bo coś dużo mamy do artylerii kandydatów, a miejsc na razie nie za wiele.

25 lipca weszliśmy do owacyjnie witającego nas Chełma Lubelskiego, a nazajutrz bateria moja przedefilowała w składzie 1 pułku piechoty przez rozentuzjazmowany wolny Lublin.

Posypała się na nas istna lawina kwiatów. Powitanie to chwytało za gardło, wilgotniały oczy. Szedłem z pękiem kwiatów, wciąż nimi obdarowywany. Takie momenty pamięta się na zawsze...

W wielu punktach miasta były widoczne ślady niedawnych walk. Przez szczeliny w żywym szpalerze witających widać było pełno porzuconego hitlerowskiego sprzętu wojskowego i zabitych koni. To tu, w świeżo wyzwolonym Lublinie, dowiedzieliśmy się o haniebnej zbrodni, popełnionej przez hitlerowców, którzy na dziedzińcu Zamku Lubelskiego w dzień swego odejścia bestialsko wymordowali więzionych tam Polaków. Widzieliśmy zmasakrowane ciała ofiar. Ludzie chowali właśnie zamordowanych. Hołd w imieniu 1 pułku piechoty oddała im uroczyście pułkowa kompania fizylierów. A zaraz potem dowiedzieliśmy się o Majdanku. Zapiekło serce. Nie było chyba takiego, który nie powziąłby postanowienia, iż nie spocznie, póki sprawiedliwości nie uczyni zadość.

Wreszcie przypomniałem się swoim rodzicom. Spod Lublina napisałem do domu, do wyzwolonej już Hajnówki, pierwszy od przeszło trzech lat list. Powiadomiłem rodziców, że żyję i z niecierpliwością oczekuję od nich wiadomości.

O zmroku opuściliśmy Lublin. Wyszliśmy na szosę dęblińską, kierując się w stronę Wisły. Maszerowaliśmy dziarsko. Noc nam nie przeszkadzała, dopiero ranek przyniósł zmęczenie...

TADEUSZ RUTKOWSKI
Fot. **ze zbiorów autora**

Radosny przemarsz żołnierzy 1 Armii Polskiej przez Lubelszczyznę

bezradności. Wielkołapemu podniosły się brwi i zrobiła poprzeczna zmarszczka na czole. Myślał bardzo intensywnie. Wreszcie odezwał się uroczyście:

– Drogi Watsonie.

– Tak, sir – odrzekłem skwapliwie. Pochwyciłem ton! Ale on zaraz wrócił do swojego naturalnego głosu:

– Na czym stanęliśmy?... Ja się zgodziłem, że maszyna, z którą się mierzysz, działa przeciwko tobie. Jest lepsza od ciebie... i ty z tego wykoncypowałeś, że jesteś z góry skazany na przegraną, no nie?

Kiwnąłem głową. Wielkołapy dalej nawijał:

– Ty przegrywasz, a ona wygrywa. Osacza cię w kozim rogu i bum. No i co jej przyjdzie z takiej wygranej? Jaką ona może mieć z tego przyjemność? To ty się ekscytujesz, ty się sprężasz, ty się pocisz. Ona tępo kalkuluje i zlicza trafienia. Ty jesteś świeży jak wietrzyk, ona – wyćwiczona do perfekcji, do znudzenia. Do licha, to ona powinna tobie zazdrościć!

– Ona, czyli eg-zys-ten-cja? – Brakowało mi jeszcze tylko biretu i togi i kołnierza z gronostajów. No i katedry. Rozkoszowałem się wymawianiem jednego z tych dostojnych, napuszonych słów, których pełno jest w encyklopedii. A Wielkołapy ciągnął swój wywód:

– I chociaż nie wiemy, dlaczego wszystko kończy się na bum, to w sumie ona działa dla nas, a nie przeciwko nam. Gdyby nie miało być tego bum, to myślisz, że chciałoby ci się tak sprężać? I tak łapczywie przeżywać każdą chwilę lotu? Guzik prawda: wcale nie miałbyś chęci. W końcu by ci się cholernie sprzykrzył. I taki doskonały w każdym celu ziewałbyś bez ustanku. I sam byś zaczął wypatrywać tego, który by cię zmienił.

Mniej więcej zrozumiałem, ale nie wiedziałem co odpowiedzieć. On się wczoraj cały wieczór ćwiczył w filozofowaniu, a ja byłem w te klocki dętka. Nie jadłem śliwek...

Znowu zaczęło kapać. Coś trzeba robić. Wyciągnąłem gazetę. Może Wielkołapy będzie miał ochotę na kino? Rozpostarłem tę stronę, gdzie są programy. Papier od razu zmókł i zmiękł od deszczu. – Daj obadać – powiedział Wielkołapy. O, to jest ta wystawa, na którą wczoraj miałem iść.

– Z tą nową dziewczyną?

– Z tą czy z tamtą. Obie są gęsi. Jak to młódki: o byle co się dąsają. Nie to co chłopak. – Znowu mnie kuksnął w obojczyk. Jeszcze raz, a mu oddam.

– Architekturaaaa ekspeeerymentalna – wyczytałem mu przez ramię. – Z czym to się je?

Wielkołapy wrzasnął:

– Co? Dzisiaj ostatni dzień! Śmigamy!

Byle jak złożył rozmiękłą gazetę i wsadził mi ją do górnej kieszeni battle-dressu. Jak chusteczkę do butonierki. Przyklepał.

– No lecim, bo nam zamkną przed nosem.

Tramwaj z hukiem telepał się po moście. Wracałem do domu. Wielkołapy to spec. Na architekturze zna się jak nikt. Nie mówię, że na gotyku, baroku i rokoku. Na tym to każdy ma ambicję się wyznawać. Nie na darmo Zin tyle lat orze grunt przed kamerami. Moja ciotka jest w nim rozkochana. Ale to są bajeczki z dawnych lat, powiedział Wielkołapy. Teraz trzeba budować gazu. Po prostu taśmowo. Domy muszą rosnąć jak grzyby po deszczu, żeby ludzie wreszcie przestali koczować.

– No ale to wszystko też wpierw musi być przemyślane.

– Mnie to mówisz?

Weszliśmy. W pierwszej sali była część wstępna, czyli tło historyczne. Rotundy z kamienia, wieże z cegły, drewniane kościółki. W drugiej sali już żelbeton. Wielkołapy wystartował z koncepcją przewrotów. Gdy kamień zastąpił drewno, był przewrót, gdy cegła kamień – następny przewrót; a gdy beton ze stalą, szkłem i plastikiem wyparł cegłę, to zrobił się taki przewrót, że niektórym aż przewróciło się w głowie. I na tej wystawie strasznie wydziwiał. Na ich szczęście autorów nie było, bo to była wystawa zagraniczna. Wielkołapy wciągnął do dyskusji babcię muzealną. Ona go uspokajała. Ciągle jest jakaś awangardowa ekspozycja i ona już przywykła. Inni zwiedzający też uważali za stosowne wypowiedzieć własne zdanie i przyłączyli się do dyskusji. Chyba tylko ja nic nie mówiłem. Wielkołapy powiedział, że eksperymenty architektoniczne to odpowiedzialna sprawa, szczególnie w dziedzinie mieszkaniowej. Na Zachodzie, jak ludziom nie podoba się osiedle, to się wynoszą gdzie indziej i mieszkania stoją puste, albo, jeśli są tanie, to wprowadzają się do nich gastarbeiterzy, bo im wszystko jedno. A u nas każde mieszkanie jest dobrem bezcennym i każde będzie zamieszkane, choćby nawet dom stał pośrodku ronda i trząsł się od nadmiaru decybeli. Jakaś młoda z mężem pokiwała głową. Kiwanie udzieliło się mężowi. Stwierdził, że ludzie nie mają wyboru, czekają mieszkania jak raju i właśnie dlatego powinno się u nas planować i budować porządnie.

A znowu taki łysy w dżinsach, podobno docent, powiedział, że oni dyskutują nie na temat i w ogóle nie rozumieją idei wystawy. Tu chodzi o eksperyment w formie. Funkcjonalność to inna sprawa. Wielkołapy przytaknął.

– Przy takiej zacofanej technice budownictwa, przy takich bublowatych prefabrykatach to nas na takie eksperymenty w dziedzinie formy jak na Zachodzie po prostu nie stać. – No i nie ma co się silić. Projektanci muszą postawić przede wszystkim na funkcjonalność – powiedział mąż tej młodej. I tak się dyskusja urwała.

Cdn.

Zadanie Premiowane nr 243

KRZYŻÓWKA JEDNOCIĄGOWA

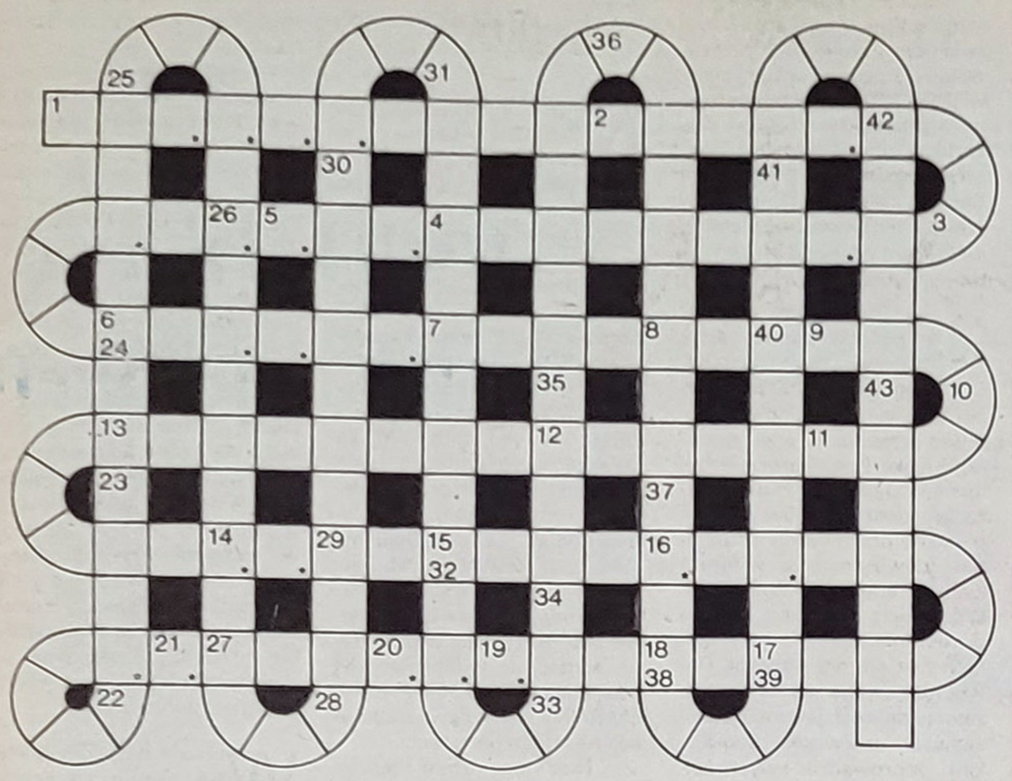

Wyrazy o podanych znaczeniach wpisz do diagramu pamiętając, że ostatnia litera jednego wyrazu jest jednocześnie początkową następnego. Litery z kratek oznaczonych gwiazdkami, czytane rzędami poziomymi, utworzą rozwiązanie. Napisz je na kartce pocztowej i prześlij w ciągu 7 dni od daty tego numeru pod adresem: „Świat Młodych", Mokotowska 24, 00-561 Warszawa. „Zadanie premiowane nr 243".

Prawidłowe rozwiązania wezmą udział w losowaniu nagród.

ZNACZENIE WYRAZÓW:

1–2) gotowość do ponoszenia ofiar, 2–3) anoda lub katoda, 3–4) uporządkowany wybór towarów w sklepie, 4–5) wysiłek, mozół, 5–6) członek rodziny przebywający we wspólnym mieszkaniu, 6–7) pęk lnu na kołowrotku, 7–8) np. pędrak lub kijanka, 8–9) wodorost morski, 9–10) jeden z kontynentów, 10–11) przyjaciel Aramisa i Portosa, 11–12) szaleje na morzu, 12–13) rower napędzany mechanicznie, 13–14) rzeka kojarząca się z Cezarem, 14–15) uchodzi do Zat. Gwinejskiej, 15–16) ciastko z kremem, 16–17) mierzy natężenie prądu elektrycznego, 17–18) tył zwierzęcia, 18–19) współczesny malarz hiszpański, 19–20), 20–21) zimą zwisa z dachu, 21–22) niejeden w dywizjonie, 22–23) bazia, 23–24) aromatyczny napój alkoholowy dodawany do ciasta, 24–25) ojciec Zeusa (przestaw litery w wyrazie KROSNO), 25–26) krótka wypowiedź, 26–27) zwracanie wcześniej wziętej rzeczy, 27–28) grecki bóg miłości, 28–29) typ piosenki kabaretowej, 29–30) marynarka + spodnie, 30–31) część marynarki lub swetra, 31–32) stosowany do odświeżania powietrza w pokoju, 32–33) gatunek wierzby, 33–34) głos kobiecy, 34–35) wędrowiec, obieżyświat, 35–36) przedostawanie się wody w miejscach nieszczelnych, 36–37) narzędzie rolnicze do spulchniania gruntu, 37–38) zawody samochodowe lub motocyklowe, 38–39) dostawa, 39–40) konie przy karecie lub wozie, 40–41) górna część koszuli, 41–42) pojazd dwukołowy, 42–43) dyskryminacja ludzi ze względu na kolor skóry, 43) drzewo iglaste.

ROZWIĄZANIE ZADANIA PREMIOWANEGO NR 239 Z 74 NUMERU „ŚWIATA MŁODYCH" Z DNIA 23.06.1979 R.

Prawidłowe rozwiązanie: Nadszedł czas wakacyjnej przygody.

Nagrody wylosowali:
Marek Ciechowski – Wrocław, Tomasz Dykas – Tarnów, Tomasz Jankowski – Otwock, Joanna Jarek – Warszawa, Ola Krakowska – Lwówek Śl., Adam Modrok – Katowice, Krzysztof Olszewski – Ławsk, Dariusz Paluba – Częstochowa, Leopold Sławiński – Sokołów Mlp., Jerzy Wowk – Opole.

ŚWIAT MŁODYCH
MARCOWSKA GAZETA NASTOLATKÓW

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa;

ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33, telex 0315569).

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Kazimierz Pasek, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Marian Twaróg, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY:
Red. naczelny 21-15-61
Sekr. redakcji 28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami 21-81-13
TELEX 81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35046.

Opracowanie graficzne
Szarlota Paweł

Anna Dąbrowska

Nr zam. 4235/G C-108

Każdy znajdzie tu coś dla siebie. Dziś zaprasza przede wszystkim do rozwiązania matematycznej figury z dziewięcioma cyframi do wstawienia.

Twierdzę, że jest to zadanie na pięć minut, ale nieźle będzie, gdy ktoś upora się z nim w dziesięć minut. Kłaniam się do soboty!

BEN AKIBA, gospodarz Abrakadabry

DZIEWIĘĆ RÓŻNYCH CYFR

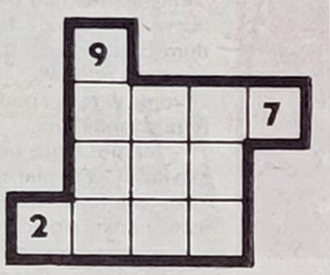

W dziewięć pustych pól tej figury masz wstawić cyfry od 1 do 9, każdą używając tylko jeden raz. Pamiętaj, że suma cyfr w każdym rzędzie poziomym i każdej pionowej kolumnie musi wynosić 18. W tej sumie muszą się także mieścić cyfry z kratek dodatkowych. Jest to zadanie na 5 minut.

ODPOWIEDZI Z POPRZEDNIEJ SOBOTY:

156	:	3	= 52
+		×	−
119	:	7	= 17
−		×	+
8	×	8	= 64
267	−	168	= 99

TAJEMNICZE DZIAŁANIA: patrz rozwiązanie na wyliczeniu.

ŁAŃCUCH

Starzy abrakadabryści znają ten typ łamigłówki nie od dziś. Chodzi o to, żeby przewędrować przez wszystkie obrazki zaczynając od 1 a kończąc na 9, ale nie w kolejności liczbowej. Zaczynamy od 1: jest na nim m. in. piłeczka pingpongowa. Piłeczka powtarza się na jeszcze jednym rysunku – on będzie kolejny w naszym łańcuchu. Na nim przecież jest jeszcze inna rzecz, która znów powtarza się na innym obrazku i tak dalej aż do 9. Prawidłowy przebieg łańcucha podam za tydzień w odpowiedziach.

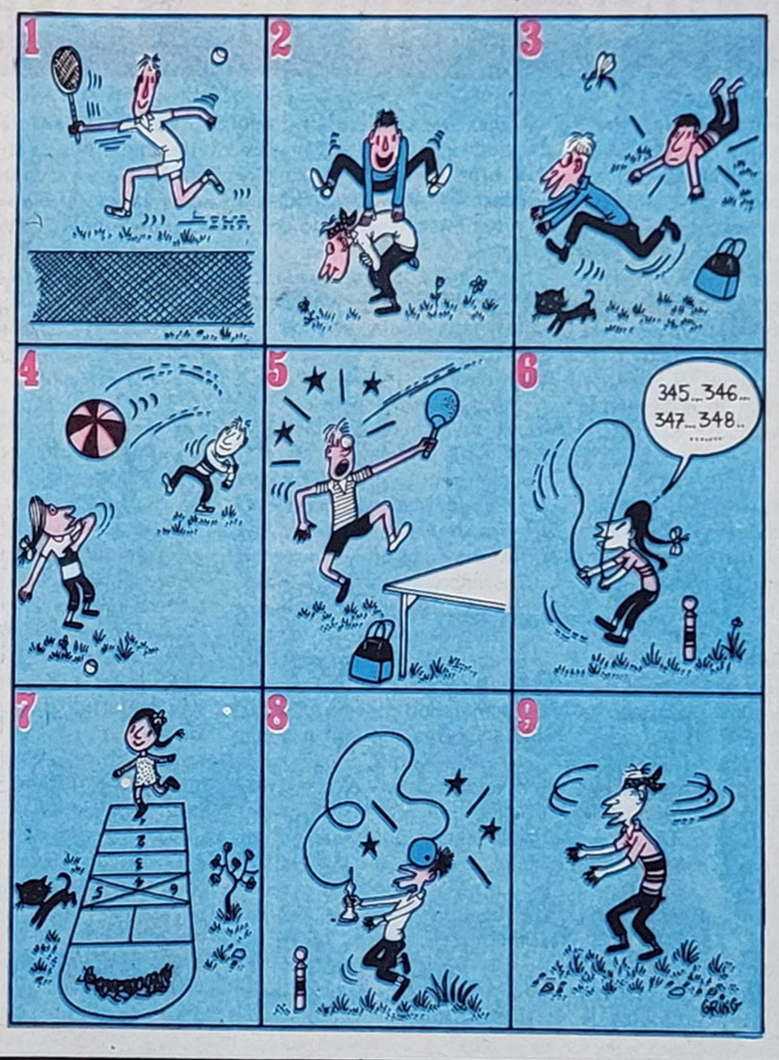

STARTUJE KLOWN KOKARDKA

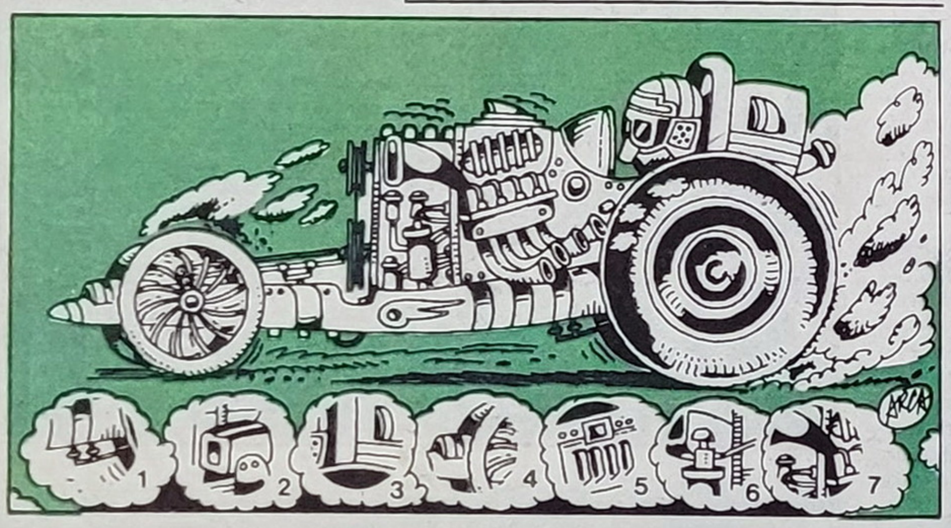

Właśnie przed chwilą ten szalony automobilista – klown Kokardka – wystartował do wyścigu. Na dole rysunku przedstawiam w „dymkach" prawdziwe i nieprawdziwe fragmenty samochodu wyścigowego naszego abrakadabrowego rozśmieszacza Kokardki. Które są prawdziwe – zorientujesz się szybko. Swą odpowiedź zanotuj i porównaj z rozwiązaniami za tydzień.

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

W następnym numerze znajdziecie:

- Odpowiedzi na pytania czy czternastolatka powinna mieć swojego chłopca
- Autostopem do Loponii
- Kluby: Artystyczny, Zielonego Purchla i Wagabundów
- Kolejne spotkanie z Czesławem Wołłejko

Pociągnąłem go w drugi koniec sali. Do kabiny myśliwca. Przede mną zaklepało sobie już kolejkę dwóch chłopaczków. Automat szybko sobie z nimi poradził. Teraz ja. Chciałem się popisać przed Wielkołapym. No bo zawsze utrzymywałem się przy sterze najdłużej ze wszystkich! Wrzuciłem monetę i ścisnąłem drążek. Na ekranie pojawia się szafirowe niebo. Ciemna sylwetka mojego samolotu pruje ten szafir. I nagle on, czerwony, wściekły nieprzyjaciel, wśród dzikiego wycia wyskakuje zza słońca. Ja oślepiony daję nurka. On pikuje na mnie. Skręcaj! Skręcaj! Buum!!! Ekran zalany czerwonym światłem. Płonę, wyskakuję z kabiny... Tak się przejąłem, że naprawdę chciałem wyskoczyć.

Wielkołapy stał za fotelem. Próbowałem udać obojętność, zamiast tego usłyszałem swój głos – pełen skargi: – Bardzo szybko każdego załatwia.

Wielkołapy uśmiechnął się:

– I ma rację, popatrz jaka kolejka. Każdy chce polatać. Chodź, oddamy szkło.

Zeszliśmy na taras, odstawiliśmy butelki na pierwszy z brzegu stolik. Nie kapało już.

– Jeszcze nie widziałem takiego, który by z nią wygrał – ciągle nie mogłem maszynie darować. Szliśmy ścieżką przez krzaki i w końcu wyszliśmy na trzynastą stację Męki Zdrowia. Znaczy się ścieżki zdrowia, czy jak jej tam. Usiedliśmy na drabinkach.

– Tak sobie pomyślałem i zrobiło mi się całkiem bezradnie.

– O tej nowej dziewczynie?

– Nie – rozchmurzył się na chwilę. I znów sposępniał:

– Tak w ogóle, o życiu, że to tak jak z tym twoim lotem.

– Jaki tam on mój. Każdy może, za pięć złotych.

– Każdy może, no jasne. Ale jak już trzymasz drążek w ręku, maszyna działa tylko dla ciebie.

– Przeciwko mnie, chciałeś powiedzieć.

– Niech ci będzie, że przeciwko. I już taka jest, że jest lepsza... od ciebie. Główkujesz, gimnastykujesz się, pocisz, krążysz po ekranie, ale nie możesz z niego uciec. W końcu cię dogania i jest bum. Jesteś zestrzelony i nie pozostaje ci nic innego jak zwolnić miejsce. Inni też chcą spróbować.

Podrapałem się w głowę: – To niby o życiu to ma być?

– Niby tak...

– Że życie to taki automat? Chce nas spróbować, a potem porzuca...? I następny na fotel...!

Wielkołapy kiwnął głową jak ptak albo starzec.

Jakieś klapki mi się w duszy otworzyły, coś zrozumiałem, ale to tylko mignęło i przeleciało. Ustąpiło pod naporem buntu, który ogarnął mnie całego.

– To on się nami tak tylko bawi? Podpuszcza, podpuszcza, aż wreszcie bum! – i nóżki do przodu...? Dlaczego? Dlaczego? No powiedz, dlaczego?

– Nie wiem.

– Dlaczego nie wiesz? – zaperzyłem się.

– Przestań mnie męczyć – mruknął zły. Spojrzałem na niego też zły. Wpierw mnie rozbudza, a gdy już zacznę myśleć, to on się ogania jak od osy. Istny tatuś. Przestań mnie męczyć. Odezwał się we mnie nieznośny bachor.

– Tatuuuś – miauknąłem i zeskoczyłem z drabinki. – Przestań mnie męczyć, przestań mnie męczyć – zacząłem kręcić się w kółko i oganiać jak od osy. Twarz Wielkołapego mignęła w przelocie. Ale się zarumienił. Stary koń! Przygryzło.

Nie wiem kiedy Wielkołapy zeskoczył i znalazł się przy mnie. Jego wielkie łapska chwyciły mnie i ścisnęły. Trzymał mnie mocno, w ogóle się nie mogłem ruszyć. Normalnie mnie zakleszczył. Fakt, uspokoiłem się natychmiast. Puścił, nim zdążyłem krzyknąć „puść".

Poszliśmy do czternastej stacji, na równoważnię. Próbowaliśmy gadać o tym i o owym, czyli o pogodzie i o dupie Maryny. To było zupełnie bez sensu. Obaj myśleliśmy jeszcze o tamtym. Wielkołapy czuł chyba, że mnie zostawił na lodzie, a ja dopiero teraz zrozumiałem co to jest świadomość

Dokończenie na str. 7